



# BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

**B. BOLESŁAWITĘ.**

(Ciąg dalszy.)

## XLIII.

Ani Hela ani ów w płaszczu hiszpańskim mężczyzna nie dostrzegli tego, że żebrak, który stawał zwykle albo w bramie domu Paprońskiego lub naprzeciwko, był świadkiem dalekiej rozmowy krótkiej w ulicy, a potem za nią pociągnął do ogrodu Mniszchów...

Nie wpuszczono go tu z powodu jego łachmanów, ale się wstrzymał u kraty, wyszpiegował wnijście mężczyzny, oczyma zdala śledząc schadzkę, rozmowę, ruchy osób i wzrusze... W południe już pan generał nie tylko był o tem uwiadomiony, ale szpieg jego w trop pobiegłszy za mężczyzną, odkrył, iż wszedł wracając do pałacu Księcia Wojewody...

Puzonów znając Księcia, zrazu nawet przypuścić nie mógł, aby to on sam był tym przebranym, zasłoniętym, tajemniczym mężczyzną, chociaż rysopis go wskazywał...

Zazdrość, gniew, chęć pomszczenia się nim miotaly.— Chciał z początku biedz natychmiast do Starościnej, ale namyśliwszy się wszakże, kazał zaprządź do karety i pojechał do Księcia Wojewody.

Znajomi z sobą byli dosyć dobrze, kiedy niekiedy wzajem oddawali sobie wizyty, nie mogło więc nikogo zadziwić, że Puzonów tu przybył... Pędziła go tu głównie ta myśl, iż wszyscy w mieście głosili (o czem i on już słyszał) niesłychane podobieństwo Heli do Księżnej Wojewodzinej, jaką była w pierwszej młodości... Umysł jego bystry, a obyczaje jakich się napatrzył — stworzyły z tego

miłostki potajemne i rywala w starym Księciu... Cóż było dziwnego, że chciał swej młodości odżywić wspomnienie?

Ksiązę Wojewoda był w swoim gabinecie chemicznym... gdy mu dano znać że generał Puzonów, w ważnym interesie osobistym, koniecznie się z nim widzieć pragnie. Zrzuciwszy okrycie, które mu służyło do pracy, Ksiązę kazał sobie podać suknie i ordery, a generała prosić do biblioteczki, przyrzekając przyjść natychmiast.

Biblioteczka ta, gabinet raczej wcale oryginalnie urządzony przytykał do pracowni, miał charakter poważny schronienia uczonego badacza, więcej niż miejsca spoczynku możnego pana. Ścian część znaczną zajmowały szafy zawierające dzieła wyłącznie alchemiczne i traktujące o tajemniczych naukach... Na drugiej stronie za szkłem ustawione były w słoikach minerały, proszki różne, stopy kruszczów, soli... ziemi... skamieniałości i różnobarwne płyny.

Wszystko to ustawione było metodycznie i z pewnem staraniem o elegancję. Ogromne biuro i fotel świadczyły, że Ksiązę tu pisywał. Nad sofą — co rzadka na owe czasy, wisiła cała panoplia zbroi i broni w Malcie zakupiona. W pośrodku dawne uzbrojenie kawalerów Maltańskich z krzyżem gwiazdzystym, do koła szpady, halebardy, kusze, dołem najosobliwszy dobór sztyletów i nożów włoskich.

Te zwróciły jako najbliższe uwagę generała, były to w istocie szacowne bardzo antyki. Poczawszy od prostego pugiuału, od włoskiego noża, który niejedną może krwawą odbył coltellatę, sztyletów cienkich jak druty a mogą-



cych stal przebić, były tam i płomieniste noże i puginały po bokach opatrzone zębami, tak aby z rany dobyć ich nie można, i szklanne co się w piersi wbiły, i — zatrute w pochwach opieczętowanych... Słowem był to zbiór cudowny, wśród którego kilka florenckich z najlepszej epoki odrodzenia sztyletów odznaczały się misternymi, drogocennymi rękojeściami.

Jenerał rozpatrując te antyki, zauważył, że w pośrodku wisiała pochwa rzeźbiona wytwornie, cała w godłach śmierci i drobnych figuzynek walczących z sobą... W pochwie tej brakło — żelaza.

Wpatrywał się jeszcze w to osobliwsze trofeum na ścianie, gdy drzwi się otworzyły na obie strony i Książę Wojewoda ukazał się poprzedzany przez kamerdynera, który roztwarzając podwoje, zawołał:

— Książę Wojewoda!!

Puzonów odwrócił się — Książę szedł zwolna poważny, blady, z podniesioną w górę głową, z wyrazem twarzy surowym, ale grzecznym. Powitali się uprzejmie, usiedli, drzwi zamknięto.

— Czyś W. Ks. Mość odbył dziś przechadzkę pieszą korzystając z dnia pięknego — począł jenerał — czy może się mylę?

— Ja? ja? — rzekł zdumiony Wojewoda.

— Tak, zdaje mi się ku ogrodowi Mniszchów?

— Ja? — powtórzył Wojewoda spokojnie.

— To mi się może tak zdawało — podchwycił Puzonów, bo tożem się zdziwił... pieszo!! W. Ks. Mość nie lubisz puszczać się *incognito*.

— Nie lubię — odparł Wojewoda.

Zamilkli. Puzonów zwrócił jakoś uwagę na zbiór sztyletów.

— A! widzę, żeś się pan jenerał przypatrywał mojemu zbiorkowi antyków... Jest ciekawy w istocie, bardzo rzadki, w całych Włoszech już dziś nie znaleźć nic podobnego. Nabyłem go kilkadziesiąt lat temu w Wenecji, po sławnym dziwaku kolekcjonistcie... Później mi przyszła fantazyja dokompletowania, to się tam z różnych kątów wywlekało.

Nieznam bardziej zabójczego narzędzia we wprawnej ręce... Włoch jeżeli nie może pchnąć, rzuca nóż i wbija go w piersi po rękojeść... Jestto sztuka... Obyczaje włoskie, krew południowa i sposób wojowania dawny, broń tę bardzo wydoskonalili.

— Czyby mnie chciał nastraszyć? — rzekł w duchu burząc się Moskał, a głośno dodał.

— Tak! było to niegdyś dobre... dziś lepszy pistolet a nawet szabla...

— Zapewne — odparł Wojewoda — ale niektórymi z tych starych sztyletów nie potrzeba było ranić, dosyć dotknąć, zadrasnąć, by zadać śmierć... szybko jak piorun...

— O! to są stare bajki! — rzekł jenerał patrząc na ścianę.

— Bajki nie-bajki... ja coś wiem o tém — śmiejąc się odparł Wojewoda.

— Przyznam się — śmiejąc trochę, rzekł jenerał — że choć wierzę Wojewodzie, ale sądzę że się mylisz...

— Ja się nigdy nie mylę — poważnie odpowiedział Wojewoda. — Chcesz pan byśmy spróbowali.

— Jakto? spróbowali? — spytał Puzonów.

Wojewoda zadzwonił, wbiegł kamerdyner.

— Czy jeszcze nie struto tego biednego psa podwórzo-wego ze złamaną nogą, który się męczył... i któremu kazałem dać truciznę? — spytał Książę.

— Nie, Mości Książę, bo nie było komu... — rzekł kamerdyner...

— Jeżeli go nie struto — mówił dalej Wojewoda — kazać go tu przynieść z koszem... natychmiast...

Puzonów siedział zdziwiony obrotem rozmowy, gniewny, ale zbyt grzeczny, by dał poznać zły humor po sobie.

— W istocie byłaby to ciekawe doświadczenie... szepnęła z cicha.

Chwilę mówili o rzeczach obojętnych, gdy dwóch lokajów wniosło psa leżącego w koszyku i postawiło na ziemi... Pies skomlał z bólu, ale radośnie zaszczeakał i ruszył się zobaczywszy pana, którego znał dobrze.

— Nie mogę ci stary mój poczciwy strózu i przyjacielu — rzekł Książę — lepiej zawdzięczyć i przywiązania i wiernych posług, jak skracając ci nędzne życie, abyś się nie męczył.

To mówiąc zdjął Wojewoda jeden z puginałów ze ściany, obnażył go, podszedł psa pogłaskać i końcem ostrza drasnął zwierzę, które rzuciło się tylko i padło martwe, skostniałe w gmnieu oka.

— Otóż widzisz, kochany jenerale — rzekł zamykając puginał w pochew do Puzonowa i rozkazując wynieść zdechłe zwierzę — jakie to były straszne oręża w ręk-u złych ludzi...

— To prawda! teraz przekonywam się, że to nie były wymysły poetów — odpowiedział chłodno Moskał.

Odważny Puzonów, choć nie bez wzruszenia poglądał na doświadczenie, nie zmieszał się niem wcale; oburzyło go jednak, chciał się pomścić za to, co nieledwie za rodzaj groźby uważał.

— Mości Książę — rzekł po chwili — były to inne wieki... wieki żywszych namiętności, intryg, tajemniczych schadzek, zdrad, zemsty, dramatycznych scen; my żyjemy w wieku prozy, dzięki Bogu. Są wprawdzie i dziś tajemnice, ale te się ograniczają do słabostek starych gachów dla młodych twarzyczek... i obchodzą się wysmienicie bez użycia puginałów... które zwykle worek zastępuje.

Spojrzał na Księcia Wojewodę bystro, ale na twarzy jego żadnej nie dostrzegł zmiany.

Puzonów chciał koniecznie czemś mu dokuczyć i po chwili dodał znowu sarkastycznym tonem:



— Tak dziś piękna pora, iż istotnie szkoda, żeś W. Ks. Mość nie użył przechadzki, tem bardziej że w ogrodzie Mniszchów byłbyś Książę spotkał się z ową pięknoscią sławną, o której dziś papple cała Warszawa.

— Słyszałem i ja o niej — odrzekł zimno Wojewoda — ludzie nawet powiadają, że ma być bardzo do Księżnej Wojewodzinej podobną... ale to są plotkarze, którzy Księżnej w tym wieku nie pamiętają...

— Wszakże Bacciarelli, malarz a znawca — przerwał generał.

— A! Bacciarelli — odparł Wojewoda — zestarzał. Dla niego teraz wszystkie kobiety są do siebie podobne, a w obrazach też jego zawsze jeden typ oklepany... jakiś ogólnik kobiety.

— Ja także — dodał zwolna Puzonów — byłem ciekawy widzieć to cudo piękności, i przyznam się W. Ks. Mości, żeś je znalazł jeszcze większem, niżem się spodziewał, tak że się w niem pokochałem...

— A! zawołał Książę — i — i cóż?

— No, dotąd nic, tylko się kocham śmiertelnie... Gdyby to był wiek puginałów, M. Książę, a natrafił się rywal namiętny, poszedłbym z nim na noże...

— O! o! to wiele! to wiele! — odparł uśmiechając się Wojewoda — nie sądzę, żebyś pan tak się chciał kompromitować, choćby dla najcudniejszej twarzyczki prostej jakiejś dziewczyny.

Jenerał spojrział na zegarek i wstał; Ks. Wojewoda także.

— Życzę szczęścia w miłości! — rzekł ironicznie uśmiechając się.

Pożegnali się żartując wesoło, ale wejrzenie, którem się zmierzali w progu, choć bardzo grzeczne nie było zbyt życzliwe, w oczach błyskały płomienie.

Puzonów ztąd wprost, rzuciwszy powóz w ulicy, pobiegł do Starościny. Właśnie przed chwilą oznajmiła jej była Helena, że tego dnia zejść nie może i widzieć się z nią nie będzie ani z jenerałem. Na wstępie oznajmiła mu to Betina.

— O! wiem już co to jest! — zawołał gniewnie Puzonów rzucając się w krzesło — wiem... ale bezkarnie z siebie żartować nie dopuszczę! Panna Helena, która niewinność udaje ze mną, po prostu sobie żartuje i oszukiwać myśli.

Uśmiechnął się.

— Z innemi miewa schadzki po ogrodach... dziś widziano ją z Księciem Wojewodą na długiej rozmowie.

Starościna ręce załamała.

— Czyż to może być! nie! to niepodobna!

— Tak było — odparł jenerał stanowczo — przysięgam że prawda! Ja się z nią widzieć muszę, lub... lub...

— Czekaj do jutra...

— Nie, dziś, zaraz widzieć się muszę... — wołał Puzonów — ja tego nie znoję.

— Śni ci się, niewiedzieć co! — przerwała Starościna chwytając go za rękę i usiłując uspokoić — Czekaj! ja lepiej od ciebie będę to umiała wytłumaczyć, ja się domyślam już co to jest! Książę Wojewoda stary grzyb weale się w niej nie kocha, ale się jej... lęka!

Posłuchaj jenerale, klnę ci się, że powiem prawdę całą. Dawno już temu bardzo, kilkanaście jeźli nie więcej lat, poznałam wypadkiem niejaką pannę Babską, poufałą sługę i rezydentkę u Ks. Wojewodzinej. Miałam zręczność wielką jej uczynić przysługę, to nas zbliżyło... Babska kochała się wówczas do szaleństwa w młodym oficerze kawalerji, z którym rzadko widywać się mogła. Dziewczyuy mi żal było... pamiętam jak dziś, byliśmy razem na reducie w Radziwiłłowskim pałacu, zjawił się jej oficer, mieli z sobą do pomówienia na osobności, pożyczylam im mojej karety na godzin kilka... To nas serdecznie poprzyjaźniło. Babska zna historję tego domu jak nikt, od niej i ja się potem wielu dowiedziałam rzeczy. Jest tam jakaś straszna tajemnica w tem małżeństwie, której całkiem dociec nie mogłam, ledwie się domyśleć. Wygadała mi się z tem tylko, że Książę Wojewoda jest straszliwie zazdrośny, że żonę posadzał o jakieś tajemne miłostki... a co gorzej... nawet o ukrycie dziecięcia, które przyjsć miało na świat w czasie jego podróży, prawie rok trwającej, do Francji i Rzymu. Od tej jego wycieczki za granicę... między Księciem a Księżną stosunek był dziwny jakiś... czujność podwojona... Troskliwy o honor domu i imienia, Książę powróciwszy miotał się długo, szukał, śledził... badał ludzi...

Jak się to tam skończyło niewiem... ale miarkujesz pan, że raz posadziwszy żonę, może teraz podobieństwem Heli do niej być uderzony i zaniepokojony... mogły się w nim znowu obudzić podejrzenia lub obawa, aby drudzy nie posadzili, iż ona jest Księżnej córką... Otóż dlaczego Książę Wojewoda mógł gonić za nią... a jezli mu się w głowę wbiło... można lękać się wszystkiego. Babska powiada, że to człowiek straszny... ma takie środki w ręku... sam dystyluje trucizny... preparuje jakieś leki, eliksiry... O! nie trzeba go drażnić...

Hela jak się dowiedziałam, nie jest siostrzenicą moją, ale dzieckiem rodziców niewiadomych... urodzenie jej właśnie przypada na rok podróży Księcia... bo to temu lat dwadzieścia... Wierzaj mi jenerale — dodała — ja także znam świat i ludzi, taki człowiek jak Książę Wojewoda nie kocha się... ale mścić się może.

Starościna wzdrgnęła się i cicho rzekła:

— Ci co go znają — straszne o nim rozpowiadają rzeczy...

Jenerał słuchał z uwagą. Powieść ta uderzała w istocie dziwnym zbiegiem okoliczności; w duszy rad był Helę uznać niewinną, chociaż się jeszcze wahał. Ułakł się wręście o los jej, o zasadzki, bo choć sam mężnym był i przed żadnym nie cofnąłby się niebezpieczeństwem, sztylety, tru-



cizna, tajemnice nabawiały go niepokojem i strachem, jak każda rzecz niezbadana a groźna.

— Jest w tem pewne prawdopodobieństwo — rzekł — Księżę nie wygląda wcale na gacha... ale cóż mógł chcieć od niej?

— Może tylko chciał się zbliżyć przekonąć o podobieństwie — odezwała się Starościna.

— Tem bardziej potrzeba to rozświecić i koniec przyspieszyć — zawołał Puzonów — wziąć ją ztąd... Mam mieszkanie gotowe, skryte... Zresztą choćby ludzie się dowiedzieć mieli, nie wiele dbam o to!

Starościna starając się go uspokoić, posłała na górę, domagając się jeszcze raz przyjścia Heleny, ale odpowiedziano, że leży chora, a wdowa wypuścić jej na krok nie chce...

Puzonów chodził, myślał i ważył wszystko po raz drugi, roztrząsając zbieg okoliczności... uspokoił się nieco. Bądź co bądź jednak postanowił wyrwać ztąd Helenę i skończyć co najprędzej, obawiał się bowiem, aby intryga lub zemsta nie porwały mu ofiary, dla której coraz większą, bo podwojoną trudnościami, czuł namiętność.

Powtórzywszy Staroścień swoją wolę, późno wieczorem po oczekiwaniu próżnem wrócił nareszcie do domu.

#### XLIV.

Nazajutrz po owym ciepłym dniu kwietniowym, słońca i wichur zawitały znowu. Mimo to przestraszona Ksawerowa poszła wcześniej do ogrodu Mniszchów. Nie było tam żywej duszy — śnieg, deszcz, wichur na przemiany zrywające się, niedozwalały nawet pomyśleć o przechadzce. Biedna kobieta obawiała się, aby z jej winy złego się co nie stało; posłuszna przebyła parę godzin oglądając się, czekając, chodząc, nie spotkawszy nikogo. O południu przeziębła wróciła do domu z obawą i niepokojem.

Nazajutrz jeszcze odbyła drugą taką wycieczkę, powtórzyła ją trzeciego dnia, zawsze napróżno, nikt się już więcej nie pokazał.

Generał przez wszystkie te dni prawie nie wychodził od Staroścień, czatował, czekał, niecierpliwił się, podawszy się za chorego policję zdał na innych, sam z zaciętością człowieka, którym oładnęła namiętność, o niczem nie myślał, nie mówił, tylko o Heli. Lękając się ją stracić, gotów był ważyć wszystko, byle raz wyjść z niepewności.

Na trzeci dzień nieustannie wyzywana Hela wyszła wieczorem; w salonie znalazła Puzonowa bladego, drżącego od niecierpliwości... Starościna natychmiast zostawując ich samych, wysunęła się po cichu.

Niewyrażona obawa napelniła serce biednej wdowy, gdy Hela, która była wyszła tylko na chwilę i natychmiast miała powrócić na górę, zabawiła godzinę, dwie, cztery... Zbliżała się północ. Heli nie było...

Ksawerowa chodziła płacząc po pokoju, łamiąc ręce, przyklękając do modlitwy. Julka w gorączce, niespokojna, siedząc na łóżeczku wyciągała dłonie wychudłe, wołała Heli, domagała się jej, zrywała za każdym szelestem.

Można sobie wystawić trwogę i rozpacz ich, a zwłaszcza matki przypominającej schadzki w ogrodzie Mniszchów i groźby nieznanego. Nie wątpiła na chwilę nieśczęśliwa kobieta, że korzystając z pierwszej zrzęźności porwano ją... może zabito, lub uprowadzono gdzieś, z kądem już nigdy wrócić nie będzie mogła.

Cała ta noc oczekiwania i coraz słabnącej nadziei spłynęła we łzach... Ksawerowa uspiwszy Julkę nierychło, sama została na czatach, przysłuchując się, biegając do okien, na wschody, zwodząc się najmniejszym szmerem.

Dzień nadszedł, rozesłano na zwiady, poruszył się dom cały, gospodarz, gospodyni która bardzo kochała Helę, sąsiedzi... Starościna wybiegła razem z innymi, upewniając pana Paprońskiego, że Hela wyszła od niej oddawszy robotę przed dziewiątą, i że natychmiast powrócić miała na górę... Nie pojmowała kobiecina niewinna, co się z tą nieśczęśliwą stać mogło...

Podjeżenia o jakimś gwałtownem porwaniu Heleny, nabrały jeszcze większego prawdopodobieństwa w oczach Ksawerowej, gdy nazajutrz rano, wróciwszy po wycieczce z domu do mieszkania swego, znalazła na komodzie w pierwszym pokoju stojące — opieczętowane pudełko pod swoim adresem.

Porwała go, sądząc, że może dowie się coś z niego o losie Heleny... Napis na wierzchu był widocznie ręką utaić się usiłującą nakreślony nieforemnie; ale wewnątrz nie było prócz paryset czerwonych złotych grubo obwiniętych w bibułę.

Ujrawszy to Ksawerowa, dobita padła na pół martwa... na ziemię; nie mogła już wątpić, iż więcej pocziwego dziecięcia serca swego nie zobaczy.

Gdy ją ocucono, dla dwojga chorych słać potrzeba było po lekarza, gdyż i Julki gorączka się wzmagala... a bolesny jęk jej wołał nieustannie Heleny.

Napróżno śledzono i badano, kto mógł tu przynieść i postawić owe pudełko, nie widziano nikogo obcego w domu, służka zaklinała się, że nikt nie wchodził. Słyszano tylko otwierające się drzwi, szelest, a potem szybki stukot jakby kogoś spadającego ze schodów. Stało się to w niebytności Ksawerowej, gdy wybiegła rozpytywać w domu, czy kto nie widział wychodzącej Heli. Oprócz powozu, który odszedł z wieczora od Staroścień do miasta... zdawało się, że ani ona, ani nikt nie przekroczył bramy. Stróż się zaklinał, że jej wcale wczora w bramie nie postrzegł.

#### XLV.

Ostatnie wypadki zaszły w wigilją kwietnej niedzieli 1794 r. W stolicy nie mogły one wielkiego uczynić wra-



żenia. Zniknięcie przypadkowe jednej biednej sieroty mogło dziwić lub mieć rozgłos, gdy przy Miodowej ulicy pod mieszkaniem Igelstroma, jęczało tylu więźniów, o których losie nikt nie wiedział!

Wzburzenie umysłów rosło z dniem każdym... ale pojedynczych męczenników cierpienia nie obchodziły nikogo, bo na myśli było... wyzwolenie kraju...

Naznaczano w pogłoskach dzień i godzinę, gdy Moskale na arsenał napadną. Wysły były rozkazy od władzy duchownej, aby we wszystkich kościołach o jednej godzinie

Wojsk resztę, którą jeszcze rozpuszczać kazano z rozkazu ambasady — tulił każdy jako mógł, bo żołnierz niechętnie opuszczał szeregi, a rozdrażnione mieszczaństwo chwyciło abszytowanych i przechowywało jako czeladź do lepszego czasu. Głuche wieści od Krakowa mówiły o przybyciu Kościuszki, o ogłoszeniu narodowego powstania, o odniesionych zwycięstwach. Śledzono pilnie tych, co je roznosić śmieli... co imię Madalińskiego lub Kościuszki wymówili przypadkiem nawet... w rozmowie...

Dość było spojrzeć na twarze ludu, na postawę woj-



Otóż widzisz kochany generale — rzekł — zamykając pugnał w pochew (str. 174).

odprawiła się rezurekcja. Zwiększało to rozporządzenie prawdopodobieństwo napadu na arsenał, właśnie naówczas, gdy wszystek lud będzie się znajdował na nabożeństwie, a kościoły ostawione wojskiem dopóty go niewypuszczą, aż rabunku dopełnią.

Słyszał także ktoś o koszach nożów przysposabianych na Pradze do rzezi ogólnej, inni rozpowiadali o widzianych pieczętkach w pudełeczkach na kształt tabakierok, rozdawanych tym, których ocalić chciano.

Rozsiewana trwoga, zwiększała się, rosła jak olbrzymieje każda wieść w ustach tłumu.

na chmurne oblicza mieszczan i czeladzi, aby przeczuć, że chwila wybuchu się zbliża.

Igelstrom groził, gniewał się, niepokoił doniesieniami, ostrzegał magistrat... łajał pochwyconych a podejrzanych o spiski... ale po chwili ułagadzał się... miarkował, pochlebiał i sądził, że to kombinacją terroryzmu i dobroci ująć i rozbroić potrafi. Bacniejszych jednak oczów ująć nie mogły schadzki liczne po koszarach, w domach prywatnych... na Dunaju... i pewne uśmiechy młodzieży, jakby tylko wyczekującej rozkazu... do odwetu.

Pierwsze dni Wielkiego tygodnia spłynęły na pozór



w niezakłóconym niczem spokoju. Napływ wielki ludu w ulicach przypisywać było można nabożeństwu, które w tych dniach skupiało zawsze tłumy po kościołach. Nie łudzili się wszakże Moskale, czuli że jakieś niebezpieczeństwo grozić im może, warty podwojone były wszędzie... pilność wielka... ale najbystrzejsze oko obcego w głąb tego społeczeństwa zstąpić nie mogło, ani z powierzchowni jego uczuć wyczytać. Igelstrom sypiał nerozebrany, działa stały powytaczane u obwachów... szpiegi się kręciły, łapały ogony plotek urwane... choć z nich dowiedzieć się tylko było można, że coś istniało. Gdzie i co? żaden Moskal nie zgadywał.

Gdy pomimo obaw tych do Środy w nocy spokojnie było i cicho, a najmniejsza oznaka przygotowań groźnych pochwycić się nie dała, myślał ambasador, że wzburzone umysły powoli same odzyskają równowagę. Rachowano na polską lekkomyślność... śmiano się już nawet po cichu z raportów niedorzecznych.

Igelstrom opowiadał w zamku, jak kazał do siebie wezwać pewnego majstra szewskiego, nazwiskiem Kilińskiego, jak go zbeształ za to, że śmiał się znajdować na jakiejś tajemnej naradzie osób podejrzanych... a potem się okazało, że niewinny, poczciwy mieszczanin umyślnie to był uczynił tylko, aby natychmiast zdać raport generałowi! Dodawał Igelstrom, że go potem likierem upoił, załagodził i całkiem dla siebie pozyskał.

— Z niemi to tylko trzeba umieć sobie postąpić! — mówił z uśmiechem przed Hetmanem Ożarowskim — Wy panowie tego taktu nie macie.

Było to we Środę wieczorem.

We Czwartek nad ranem spało jeszcze miasto, gdy głucho zdala gdzieś ozwały się działa... jakby na sygnał trwogi... w ulicach ruch powstał niezrozumiały... niby ludzi, co nie śpiąc tylko na apel czekali. Potem z wieży jednej ozwał się złowrogi dzwon pożarny, i chórem wielkim odpowiedziały mu wszystkie dzwony stolicy... Mieszkańcy nieświadomi przebudzili się pod wrażeniem trwogi i rozpuszczonych wieści o rzezi. Myślano, że Moskale rzucić się mają na miasto, barykadowano bramy; kobiety i dzieci zbiegały do piwnic, kryły się w lochach, tuliły na strychach... Nikt nie śmiał wyniść, tylko ciekawsi włązili na dachy i kominy, by coś zobaczyć.

Dzień nadchodzący śmiertelną po ulicach oświecił walkę. Strzały i wrzawa rosły co chwila. Reszty wojsk, tłumy zorganizowane mieszczan zbrojnych, lud wręcz bezbronny biegł z krzykiem na obwache, na warty, gdziekolwiek stali Moskale. Ciżba ściśnięta otaczała już z krzykami groźby kwaterę Igelstroma przy Miodowej ulicy... zaciągniono działa... dach kościoła Kapucynów pokrywał się zbrojnymi w muszkiety ochotnikami, którzy czatowali na okna ambasady... zaledwie mignęła w nich twarz ludzka, dziesięć kul rozbijało szyby.

Jęk dzwonów, huk dział, ryk tłumów rozjadłych, jak szum wzburzonego morza, złane w jeden chór zemsty... rozlegały się w powietrzu... Od zamku, w którym król sam jeden opuszczony pozostał, do odległych przedmieść, na których stały oddziały wojsk przy okopach mając odierać napaść pruską — cała Warszawa pokryta była mrokiem walczących... Zaledwie gdzie jeszcze ucichł bój, usławszy trupami bruki, tłumy przenosiły się dalej i z wrzawą dobijały resztek schronionych najezdników.

Widok miasta był przerażający... stało ono cmentarzem i pustkowiem milczącym gdziekolwiek — wrzało walką zażartą obok... Garstkami, ufcami ściśniętymi tłumy przelatywały z jednego miejsca na drugie parte siłą i zapalem tem większym, że długo powstrzymywanym. Po nad płynąciami tłumy górą unosiła się pieśń pobożna, okrzyki zwycięstwa... lub powoływania do zemsty... Cechy poformowane w oddziały, młodzież z pochyconą w arsenał bronią, rzeźnicy z toporami oblegali zatarasowane domostwa i kościoły... Jak spłoszone stado zwierza garść Moskwy biegła, zamykała się dopadłszy murów, odstrzeliwała póki mogła; siekiery łamały drzwi, młoty rozwalaly cegłę... i... żołdactwo ginęło... kupami prowadzono rozbrojonych jeńców, pochwytywanych w pierwospy oficerów i powiązanych służalców.

Wśród tego głucho wrzenia kiedy niekiedy głośniejszy wybuch, tysiąc głosów i łoskot padającej budowli... oznajmywał w jednym miejscu ukończoną walkę.

Sklepy były pozamykane, kościoły zaparte, gdzie niegdzie wyrwano bruki, aby przeprowadzenia dział nie dopuścić. Konni posłańcy przesuwali się jak cienie i znikali. Z okien i dachów na uciekających w rozsypce sypały się kule i kamienie.

Ku wieczorowi już wątpić nie było można, iż stolica od najezdników oczyszczoną została. Okrzyki ludu, weselsze twarze, wręcz cichnąca coraz bitwa uliczna... oznajmywały zwycięstwo... O mroku porozpalano ogniska, lud z bronią je otaczał... dzwony ustały bić trwogę, cisza zstąpiła na Warszawę, niekiedy pieśnią tylko przerywana.

U wszystkich figur świętych, przed obrazami i krzyżami zapalano światła, długimi szeregi lud modlił się i spiewał!

W ratuszu, na zamku i w ulicy Miodowej świeciło z okien... a zastępy ludu, gwardje miejskie na prędcie poformowane, wojsk oddziały na stanowiskach niektórych pozostały.

Reszta okrywała się mrokiem i kołysała do spoczynku.

Ksawerowa jak inni zbudzona wystrzałami nad ranem, spędziła dzień cały u łóżka dziecięcia na modlitwie. Bojaźń o los jego, żal jeszcze świeży po utraconej drugiej córce — przestrach, niepewność... znużyły ją i osłabiły do ostatka. Julka zrywała się co chwila, a pocałunki i pie-



szczoty ledwie ją uspokoić mogły... Przez sen, zbudzona... ciągle płacząc wołała Heli. Wołało jej i drugie serce na próżno.

Z większą jeszcze trwogą przebudziła się Starościna, która do wczoraj utrzymywała śmiało, że „ta hałastrą“ nie odważy się targnąć na wojsko Carowej JejMości. Strzał działowy wyrwał ją z pościeli wybladłą, przelekką, ale z nadzieją jeszcze, że zwycięstwo zostanie przy tych dobrych Moskalach, którzy o przyjaciółach wiernych nie zapomną przecie. Okrywszy się ledwie pobiegła do okien, przebiegała od jednego do drugiego, stając wryta, blada... gdyż z trwania walki, z jej oznak domyślała się zaciętości. Koniec stawał się niepewniejszym coraz. Około południa wpadł do niej Paproński blady, w poszarpanych i obłoconych sukniach, przynosząc wieść, że Moskale zostali wszędzie otoczeni, ściśnięci, podobywani i powyrzynani... że reszta ich w rozsypce, a dom ambasadora w oblężeniu i na pół kulami strzaskany.

Starościna słysząc to padła w krzesło i rzewnie zaczęła płakać.

— Cóż się tam stać mogło z Puzonowem? z jej opiekunami, a potem co się stanie z nią samą?

Dzień cały nie jedząc, noc nie śpiąc spędziła chodząc od okna do okna, przewidując napad na dom, okładając się kosztownościami, które ocalić chciała.

#### XLVI.

W piątek o brzasku... nikt oka jeszcze nie zmrużył w mieście prócz dzieci w kolebkach. Betina wycieńczona czuwaniem i trwogą, leżała na fotelu, nie wiedząc już co zrobić z sobą, czy uchodzić i dokąd... gdy z cicha zapukano do bramy, a kamyczek rzucony zlekka uderzył w jej szybę.

Porwała się biegnąc do okna, mrok ranny nie dawał rozpoznać kto przyszedł. Cień jakiś przyciśniętego do wrót człowieka, za ukazaniem się jej przez szybę otwartą, dał znak naglący aby go wpuszczono. Trudno było wtajemniczać gospodarza, lub przychodzącemu z nadzieją, z wiadomością, z przestrogą, odmówić drzwi. Betina wbiegła do Paprońskich domagając się otwarcia furtki dla — brata. Z wielką ostrożnością obejrzawszy, iż przychodzień był jeden, odryglowano drzwi; po cywilnemu przybrany, obwiązany, osłonięty wkradł się niepostrzeżony Puzonów do Starościnej.

Gdy doszedł wręście do salki a drzwi ujrzał zamykające się za sobą, zrzucił płaszcz, który go okrywał. Betina krzyknęła... cały był krwią zbroczony, kule choć nie śmiertelnie przeszły mu kilkakroć ręce, nogi, a jedna ośliznęła się ryjąc bok cały. Winien był ocalenie słabym nabojom i oddalonym strażom tylko. Poobwiązany, obroczonej, drżący rzucił się w krzesło... sił mu i tchu po utracie krwi brakło.

Betina stała przed nim z załamanymi rękami. Puzonów mówić nie mógł, znać było po nim wzburzenie, gniew, wściekłość nieukołysaną jeszcze... drżał. Podniósł potem pięść zaciśniętą do góry grożąc ulicy — ale ręka opadła bezsilna.

— Jenerale! jenerale! co się stało? co z wami się dzieje? może to być, żebyście tak pochwyć się pozwolili? Co się stało z Igelstromem?

— Przepadło! wszystko przepadło — słabym głosem ozwał się Puzonów — nie słuchali mnie! otóż mają teraz. Ale my się pomścimy! Jenerała musiała uratować Księżna, nie wiem, wydobędzie się na wolność... ale inni... leżą już trupami lub w sromotnej niewoli. Co powie Carowa, gdy o tem posłyszysz! Co powie Carowa!! — powtarzał ranny.

Co tu począć?

— A cóż myślisz zrobić z sobą? — spytała drżąc Betina.

— Ja? wszak po to tu przyszedłem, żebym został — rzekł jenerał — nie myślę nawet uciekać z Warszawy i nie mogę... Rany głupstwo... a przecie trzeba, żeby tu ktoś był z nas. Los padł na mnie.

— Ale gdzie ukryć się myślisz? — zapytała znowu Betina nie tając niepokoju.

— Gdzie? u ciebie! nie rozumiesz! — ponuro zawołał Puzonów.

Starościna załamała ręce.

— Gdzie? tu! u mnie! — krzyknęła — wy, u mnie...

— Cóż? wolałabyś pewnie, ażeby mnie w ulicy zarznięto! — wybuchnął Puzonów gniewnie... nie żebyś ty na trochę strachu i nieprzyjemności się naraziła! Otóż to ta wasza przyjaźń polska i kobięca... No! ale to darmo... przyszedłem tu i zostanę... a zdradzi mnie kto, mam jeszcze kulę, żeby mu życie odebrać i swojego bronić.

Starościna słysząc to jak stała, pochyliła się, zsunęła i padła płacząc na podłogę.

— Zgubioną jestem! — zawołała — zgubioną!

Od zniknięcia Heli nie widziała ona Puzonowa, domyślała się, pewną była, że on ją uprowadzić musiał, ale świadkiem sceny tej być nie chciała umyślnie. Dlatego zostawiła ich sam na sam. Teraz nie śmiała już pytać go, co się z nią stało... gdzie ją porzucił...

Obawiała się, aby dawne jej postępowanie nie wydało się, by gospodarz się nie domyślił, sługi nie wygadały, przypadek nie zdradził.

— A! mój jenerale — odezwała się błagająco — com ja ci winna, że mnie chcesz gubić? Sam zważ, możeżli tu być bezpiecznym; wszyscy wiedzą o naszych stosunkach... każdy domyśli się łatwo, że tu schronić się mogłeś! Ciebie tu znajdują, porwą, a mnie ci nielitościwi... powieszają...

Jenerał uśmiechnął się z pogardą jakąś.

— Nie — rzekł — ci ludzie przecie mają rozum i nie posądzą mnie, bym był tak nieostrożny i chronił się tam,



gdzie najłatwiej wyszukany być mogę. Na tem ja buduję bezpieczeństwo moje. Będą może śledzić po innych kątach... ale nie u ciebie, kędym bywał codziennie.

Zresztą — dodał niecierpliwie — zginę tu, tam, wszystko mi jedno, nie mam siły iść dalej, schronić się nie wiem gdzie... przyszedłem... zostanę...

Usłyszawszy to Starościna zdjęta na nowo trwogą, pochwyliła go za rękę co prędzej i wciągnęła za sobą do

garderóbki pustej od podwórza, gdzie oprócz łóżka służącej i trochy sukien nic nie było. Sama zajęła się natychmiast zatarciem wszelkich śladów przejścia jenerała. Była prawie nieprzytomną ze strachu, który nią miotał.

Nad ranem jeszcze wzmogła się chwilowo wrzawa, powtórzyły strzały i krzyki, jęknęły jeszcze raz dzwony — i znowu wróciła cisza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## BOHATEROWIE.

### USTĘP Z DZIEJÓW NOWOGRECKICH.

Krwia się zalały Dragaszańskie pola,  
I jako trawa na pokosach legła  
W obronie świętej wiary i wolności  
Waleczna młodzież — kwiat heleńskiej ziemi!  
Hardo zwycięski półksiężyc się wznosi,  
Migocąc krwawym odbłaskiem zachodu;  
I tylko garstka jeszcze heterystów\*),  
Z świętem na piersiach Zbawiciela godłem,  
Wstrzymuje nawał bisurmańskiej hordy.  
Lecz próżny zapał; wróg liczny jak mrowie,  
Strasznym zagłady opasał ją wieńcem  
I morderczemi uściski druzgoce.

„Daremna walka!“ — wyjęknął rozpacznie  
Młody Jordaki, dowódzca drużyny.  
„Wszystko stracone — ojczyzna w niewoli! —  
„Ale nam jeszcze pozostało życie,  
„Które od sromu ocalić potrzeba;  
„Bo nie do jarzma nasze karki wolne,  
„I pokąd jeszcze dłoń orężem władnie —  
„Musim wyjść cało — lub zginiemy wolni!“  
To rzekł i z drzewca odarł sztandar święty —  
Jak pasem biodra nim swoje owinął,  
Wzniósł groźnie kindżał — dał hasło drużynie  
I na jej czele wpadł na wrogów szyki.

Jako huragan, gdy wpadnie w gąszcz kniei,  
Gruchocze wszystko co mu w drodze stoi  
I z drzew stuletnich pomost sobie ścieli:  
Tak owa garstka bohaterskiej młodzi  
Wbiwszy się kląnem w gęsty tłum Jańczarów,  
Sieje dokoła trwogę i zniszczenie  
I mnogim trupem przejście swoje znaczy.  
Zrobiono wyłom — już droga otwarta,

I zanim znowu wróg ją zamknąć zdołał —  
Już się skończyła śmiertelna przeprawa.

Jordaki spojrzął i obliczył swoich: —  
Trzydziestu tylko i trzech pozostało  
Ze świętej armii — reszta legła z chwałą!  
Ale im za to los bitwy dał jeńca —  
Tindarin Beja, zięcia Padyszaha.  
Drogi to zakład! więc pilnie go strzegąc  
Uchodzą śpiesznie w rodzinne swe góry;  
A w ślad za nimi pędzi chmara Spahów.

Trudna ucieczka — wróg wypocząć nie da!  
Bo chociaż słońce w gór cieniu już zgasło,  
I w skał załomach kryjówek nie braknie —  
Zdradliwy księżyc pełni służbę szpiega  
I wiedzie pogoń na ściganych tropy.  
Ha — ciężka dola! Już się północ zbliża,  
Już z sił opada znużona drużyna —  
A coraz bliżej słychać tętent wroga...

„O — chwilkę jeszcze dozwól wytrwać Panie!“  
Westchnął Jordaki — i wyteżył oko: —  
„Ha — patrzcie bracia, już kres niedaleki,  
„Tam wypoczynek znajdziem i schronienie!“  
Spojrzeli wszyscy — i sił im przyrosło.  
Między górami, na ciemnym tle nieba,  
W blasku księżycy zajaśniał krzyż złoty  
Na szarej wieży klasztornego gmachu.  
Sióstr Miłosiedzia przybytek to święty,  
Którego mury za twierdzą im staną;  
Bo nie odepchną pobożne niewiasty  
Ostatnich świętej armii bohaterów,  
A za ojczyznę nawet zginą razem.

\*) Sprzysiężonych przeciw Turcyi Greków.



Więc sił ostatkiem przyspieszono kroku;  
Jeszcze staj kilka dzieli ich od mety,  
Gdy naraz z wieży, pośród nocnej ciszy,

Szepnął Jordaki i zasepił czoło,  
A w myśli dodał: „Znajdzie plon obfity!“  
I właśnie dzwonek jęknął raz ostatni,



Strzelili... i z hukiem wszystko znikło w dymie. (str. 183).

Ozwią się jęki śmiertelnego dzwonka.  
„Tam anioł śmierci zawitał w gościnę“ —  
Zesz. VI.

Kiedy przypadli pod klasztoru bramę.  
Wódz zakołatał —



„Kto tam?“

„Swoj — Jordaki,

„I wierni jego towarzysze broni.“

Sama go ksieni pozdrowiła w progu:

„Witam cię synu, — w sam czas tu przybyłeś!“

Młodziana usta gorzki uśmiech skrzywił —

„W sam czas powiadasz? O wielebna matko,

„W gorszą ja porę przybyć tu nie mogłem,

„Bo w ślad za nami pędzi wrogów tłuszcza,

„Bo my zniszczenie i śmierć wam przynosim!“

„Z kim Bóg, mój synu, temu śmierć niestraszna.

„Więc śmiało wnijdziecie.“ I gdy wszedł ostatni,

Ona w milczeniu wiodła ich kruzgankiem.

A gdy przybyli pod drzwi refektarza,

Zkąd się żałobne odzywały pienia —

„Słuchaj Jordaki“ — powtórzyła smutnie —

„W sam czas przybyłeś, bo to dziewczę młode,

„Które oddałeś wczora nam w opiekę,

„Usnęło właśnie słodkim snem na wieki.“

I drzwi do sali zlekka mu odwarła.

„Boże!“ — dwa serca równocześnie jęły...

W pośrodku sali stał katafalk z trumną,

A w niej dziewica — jakby ręką mistrza

Wykuty posąg spiącego anioła.

Nad jej głowami dwie gromnice płoną,

I psalmy nucą zakonnice blade.

„Ireno droga!“ — zawołali razem

Jordaki — Mariot, brat i narzeczony —

I z niemym żalem na jej zwłoki padli;

A inni klęcząc ciche szepczą modły...

I była cisza uroczysta w sali —

Gdy naraz oknem zatrząś huk wystrzału,

I szyby z brzękiem na posadzkę padły.

Jordaki skoczył. „Ha! — już są oprawcy!“ —

I uściskawszy czule dłoń Mariota —

„Już czas nam“ — dodał — „obowiązek woła“

I dał skinieniem rozkaz towarzyszom.

Z klasztornych okien gęste biją strzały,

I wróg napróżno ciąży szturm przypuszcza;

Kto na cel wyjdzie — kula go nie mija.

Droga do bramy trupem już usłana;

A Dżirlet Aga wścieka się i pieni: —

„Przekłęte Giaury — na nich dział potrzeba!“

I do Dragaszan szle po działa spiesźnie.

Już świtał ranek gdy wróciły posły; —

Aga na klasztor dział wymierzył paszcze,

A potem groźbę obłożonym rzucił:

„Szaleńcy! — wołał — zdajcie się na łaskę;

„Gdy broń złożycie i wydacie jeńca,

„Możecie własne uratować życie —

„Inaczej w gruzach żywcem was zagrzebię!“

Spokojnie słucał groźby tej Jordaki;

Potem w milczeniu wziął za rękę Beja

I do klasztornej zaprowadził kruchty.

„Patrz — rzekł — te beczki napełnione prochem.

„Wracajże teraz do klasztornej wieży,

„I Dżirletowi powtórz moje słowa:

„Powiedz, że groźba ani łaska jego

„Nas nie poruszy; i jeśli mu miło,

„Ażebyś cało do Stambułu wrócił,

„Niechaj natychmiast z wojskiem swem ustąpi

„I nam dozwoli odejść ztąd w pokoju;

„Lecz gdy raz tylko z swoich dział wystrzeli —

„Klasztor, my wszyscy, i ty pójdiesz z dymem!“

Wzrok Tindarina dzikim ogniem błyskał,

I śmiech szatański pełzał mu po twarzy;

A gdy z Jordakim wyszedł znów na wieżę,

Przypadł do okna i zawołał groźnie:

„Waleczny Ago! niedbaj o me życie;

„Twym obowiązkiem jest pokonać wroga.

„W żadne więc nie wchodź o mój los układy;

„Uderzaj śmiało, bo to podli tchórze,

„Co się lękają“ — Nim domówił reszty,

Już mu Jordaki przeszył kulą serce,

I już trup jego na dół się powalił.

Dżirlet z wściekłości aż zębami zgrzyta.

„Niema już łaski dla was, psy niewierne!

„Już i dział teraz nie użyję wcale;

„Żywcem was muszę dostać w moje ręce

„I poprowadzić na plac Hebdomana!“\*)

Tak szepcze Aga i układa plany.

I wnet od niego idzie poseł świeży: —

„Słuchajcie — woła — mężni heteryści!

„Aga przyrzeka wolność wam i życie,

„Jeśli waszego wodza mu wydacie.“

Piers mu trzydzieści i dwie kul rozdarło:

Taką odpowiedź dano z wieży Adze.

Porwał się Dżirlet i przekleństwem ryknął: —

„Chociażby piekiel strzegły was potwory,

„Już wy ztąd pewno nie ujdziecie cało.

„Głodem was zmorzę — i nie dziś to jutro

„Sami będziecie błagać mnie o łaskę.“

\*) Plac tracenienia w Stambule.



I spełnił groźbę; milcząc stał i czekał  
Gęstemi klasztor obsadziwszy czaty.

Dwa razy odtąd dzienna zorza gasła,  
A oblężeni nie tracili ducha;  
Lecz dnia trzeciego — już im chleba brakło.  
Jordaki siostrę kazał znieść do kruchty,  
A w refektarzu rada się zebrała.  
„Gra już się kończy“ — rzekł w natchnieniu cały —  
„Dla nas ratunku nie ma już na ziemi,  
„Ale do nieba droga nam otwarta!“  
Spojrzał dokoła: — wszystkie usta milczą,  
Lecz potwierdzenie w każdym czyta oku.  
Więc po kolei wszystkim dłoń uściśnął  
I zwierzył plan swój: — On do kruchty zejdzie,  
Oni na wieży święty śpiew zanućą,  
A gdy już zabrzmie jego dźwięk ostatni —  
Wraz z nim ku niebu cały klasztor wzleci.  
„I zginiem razem. — O roskoszy boska!  
„Której nie znają niewolnicze dusze,  
„Przy której niczem wieki nawet życia.  
„Kto takiej śmierci pragnąć nie jest w stanie,  
„Kogo myśl sama o niej nie zachwycą:  
„Niech się oddali, gdzie mu droga znana,  
„I pójdzie łaski zebrać u tyrana!“

„Więc ja odchodzę — bywaj zdrów Jordaki.“  
Wszyscy zadrgnęli — był to głos Mariota.

„Co? ty Mariocie? Ty — nasz druh najmilszy,  
Któregom ceniał więcej niżli siebie!  
„Ty dla ojczyzny nie chcesz z braćmi ginąć  
„I z narzeczoną złączyć się na wieki?  
„To niechże hańba na twą głowę spadnie!  
„Idź — i przed wrogiem wyprzej się nas zdradnie.“

Mariot spokojnie kłątwy tej wysłuchał,  
Jak posąg z głazu bładny i milczący.  
A gdy sromotnie potem go wypchnięto,  
Spojrzał ku niebu — wionął chustą białą,  
I wprost do Agi udał się namiotu.  
„Szlachetny wodzu — rzekł z pogodnym czołem —  
„Ofiarowałeś wolność im i życie,  
„Jeżeli wodza swego ci wydadzą: —  
„Jestem Jordaki — sam ci głowę składam,  
„A bracia moi niech odejdą wolni;  
„Pospieszaj jednak, bo nim zmrok zapadnie,  
„Już gruzy tylko znajdziesz tam i trupy!“

Radością Agi zajaśniały lica.  
Natychniał jeńca kazał wziąć we troki,  
I list żelazny do klasztoru posłał.

Zdumieli wszyscy: „Prawdażto — pytają —  
„Czy nowa zdrada kryje się w tej łasce?“  
Lecz mają pismo — Aga życiem darzy,  
A świat tak słodko młodym się uśmiecha...  
I któżby takiej oparł się ponęcie?  
Jordaki tylko pewnoby nią wzgardził,  
I w twarz wrogowi rzucił list rozdarty;  
Ale go nie ma — on już w kruchcie duma  
I hasła z góry oczekuje w pieśni.  
Więc uwierzono obietnicy złudnej,  
Otwarto bramę i wpuszczono wroga;  
Lecz gdy już wszyscy swoją broń oddali,  
Kazał ich Aga porwać i otroczyć.

„Ha — nikczemniku!“ — woła młódz zdradzona —  
„Takiejto wiary koran wasz naucza?  
„Wszak dałeś słowo — mamy list żelazny!“

Szyderczo Dżirlet zaśmiał się im w oczy: —  
„I wam to — podli — prawić o wierności?  
„Oszukać Giaura to zasługa właśnie!  
„I jam oszukał; list ten wagi nie ma,  
„Bo na psiej pisan — nie kozłowej skórce,  
„I pieczęć z ciasta — a nie z wosku na nim.  
„Więc takie słowo zbawić was nie może —  
„Na wasze głowy czeka kat w Stambule!“

Poznano teraz, że to zdrada niecna,  
I nic srogiego już nie zmienia losu;  
Więc zmiłkli wszyscy własną klnąc ślepotę; —  
A tam Jordaki czeka w pieśni hasła.  
O gdyby można!... Myśl ta wśród rozpaczny  
Zabłysła znowu jak zbawienia gwiazda,  
W zbolące serca dziwną roskosz wlewa...  
„O pozwól panie“ — kornie błaga ksieni —  
„Niech choć ostatnią jeszcze pieśń zanucim  
„Przed świętym Matki Chrystusa obrazem;  
„Tę pieśń chrześciance przed skonaniem nućą.“

Aga pobożny — Ałlah dał zwycięstwo —  
Samby mógł przytem wznieść dziękczynną modłę;  
A tak wspaniała Giaurów pieśń żałobna...  
Więc skinął głową — i nabożnie słuca.  
A tam Jordaki wśród grobowej ciszy  
Siedzi samotny i w marzeniach tonie;  
O trumnę siostry oparł swe ramiona,  
W rękę pistolet odwiedziony trzyma,  
A dusza wzrokiem już ku niebu płynie.

Lecz jakież dźwięk to nagle budzi echo?  
Wstrząsł się Jordaki i zbiegł cały w słuchu...  
To hymn ów święty — jak anielskie pienie  
Kołysze ducha uroczeni tony.



O — jakąż błogość tęskne serce koi!  
 Jordaki słucha w zachwyceniu cały  
 I w dźwiękach pieśni swą wylewa duszę —  
 Coraz żałośniej — uroczyściej — ciszej —  
 Aż pieśń skonana... Młodzian w proch wymierzył,

Jeszcze raz w niebo rzucił wzrok natchniony —  
 Strzelił — i z hukiem wszystko znikło w dymie...  
 Tak się za wolność i ojczyznę ginie!

25. kwietnia 1868.

FR. WALIGÓRSKI.

## WSPOMNIENIA Z NIEMIEC.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW.

### GRANICA SASKA I SAKSONIA, LIPSK I DREZNO.

Przechodząc wspomnienia moje wyniesione z Saksonii, muszę począć od tej pamiętnej chwili, w której po raz pierwszy przejechałem granicę saską, w kolumnie stu sześćdziesięciu wychodźców, udających się z Prus przez środkowe Niemcy do Francji w ciągu 1832 r.

Wszelkie upokorzenia, jakie tylko znieść można było, mając udział w sprawie natenczas upadłej i należąc do armii rozwiązanej, musieliśmy ponosić w ciągu kilkomiesięcznego pobytu w Prusiech; i Prusacy chociaż nie bardzo pobożni uczyli nas cnót chrześcijańskich.

Posmutniała butna wiara, ujrawszy się po wrzawie wojennej i niejednym zwycięztwie oręża polskiego w tak zawisłym i oplakanym położeniu u Prusaków, w rygorze wojskowym pod dozorem żandarmeryi trzymana.

Każdy z nas tedy oczekiwał z upragnieniem tej chwili, w której się ujrzy u kresu zniecierpliwionych i nienawistnych stosunków.

Na mały przykomórek zbliżaliśmy się do granicy saskiej. Pod oficerów dawano zwykle podwozy konne, pod żołnierzy maże wołowe. Żeśmy naszych żołnierzy nie chcieli odstępować, wlekliśmy się nieznośnie w tej drodze nie robiąc więcej nad mil cztery dziennie. Zaraz po rozwiązaniu armii, gdy myśl tworzenia legionów polskich powstała, objął generał Bem komendę nad wszystkimi wojskowymi polskimi bez różnicy stopnia, którzy stały powzięli zamiar udania się do Francji.

Za objęciem tej komendy poszła nowa organizacja; bez różnicy stopnia i broni szykowały się kolumny, i dla każdej wyznaczał generał Bem komendantów, bo okazała się potrzeba własnej komendy i karności wojskowej między nami, dla łatwiejszego przejścia przez Niemcy i przyprowadzenia tych w ładzie wojskowym do Francji, co tam legiony tworzyć mieli.

Rząd moskiewski i pruski kontrolował bardzo te usiłowania i generała Bema, bo chciał tego, aby emigracja nie przyszła do skutku, a nadewszystko tego, aby jak najmniejsza liczba szeregowych i podoficerów dostała się

za granicę. Jakoż wielkiej trzeba było i energii tych, co tu komenderowali z ramienia generała, i bardzo silnej woli tych, co się dobrowolnie tej komendzie poddali bez różnicy jak mówię stopnia i broni, aby zwyciężyć te wszystkie trudności, jakie nietylko rząd pruski stawiał wychodźcom, ale jakie cała ludność miejscowa Prus na każdym kroku, na każdej stacyi stawiała wiarusom naszym.

Rząd przejmował listy i pieniądze, zaprowadził system szpiegów i podawał w podejrzenie zręcznie tych, co mieli zaufanie u wiary. Generał Bem ujrzał się w położeniu prowadzenia całej emigracji w sposobie tajnego związku, a wychodźcy ci, którzy z jego ramienia trzymali komendę, uważali się między sobą za związkowych, chociaż rzeczywistość nie było żadnego związku, bo po staremu hasło i odzew, które generał co tygodnia wydawał, dzienny rozkaz i raport, wystarczały dla wojskowych ludzi świeżo z boju i z pod komendy wyszłych. Cała mistyczność leżała w tem, iż wiedziano, że generał starszej broni komenderuje, i że nie wiedziano, ktoby to był, gdzie przebywa, i z kąd tak punktualnie wydaje rozkazy?

Tej to komendzie i temu prowadzeniu rzeczy należy przypisać, że się tak poważnie trzymał korpus oficerów naszych; temu należy przypisać heroiczny opór naszych żołnierzy pod Fischau i w różnych punktach, gdzie garnizonem wojsko polskie w Prusiech stało; temu należy przypisać zorganizowanie komitetów „Przyjaciół Polaków,” które poczynawszy od Saksonii zawiązały się w całych środkowych Niemczech na całej przestrzeni aż do Renu na kilku szlakach, na które się przypadało przeprowadzić Polakom do Francji.

Nie mam tu co innego do powiedzenia, jak, że to wszystko było dziełem generała Bema, który stojąc przed frontem umiał niszczyć, a równie dzielnie umiał tworzyć, gdy twórczej potrzeba było siły, chociaż jedno i drugie czynił jako żołnierz doraźnie, trafnie bez rady i zwłoki.

W tych wstęptach, które nam Prusacy czynili, było wszystko bardzo mądrze i systematycznie obmyślane z góry.



Jeżeli tego trzeba było, udawali wielką nienawiść do Moskali; a że chodziło głównie o to, aby oficerów oddzielić od wiarusów, dawano im bardzo korzystne zarobki, kochanki i żony; łudzono wyrobieniem amnestyi za pomocą wpływów rządowych, a tych co się niczem nie dali ująć, brano na łąty i do więzień, i odstawiano skrycie na granicę Moskwy. W całej podróży kontrolowano co stacya paszporty, i na każdej prawie stacyi robiono temu lub owemu trudności, twierdząc, że się osoba nie zgadza z opisem paszportu; kto się niezdolał obronić, tego aresztowano, a jeżeli go komendant kolumny nie umiał wydobyć, pozostawał na stacyi. Często jeszcze przed przybyciem do stacyi rozjechały się podwozy w różne strony, a każda zatrzymując się w jakiejś wsi lub gospodzie, mówiła, że niema obowiązku jechać dalej; więc pytaj i szukaj szulca nieznaną języka, a wzięwszy w końcu mantelzaczek wracaj pieszo do głównego gościńca, i odpytuj po drodze, gdzie tu najbliższa stacya, w której nocują Polacy? Niejeden błędził dwa i trzy dni nim się znowu z swoją kolumną zrównał, a niejeden zginął bez wieści w tej drodze schwycony przez żandarmów, lub znalazłszy jaki zarobek w opuszczeniu swoim. Nawet to, że oficerom dawano konne podwozy, a żołnierzom maże wołowe, nie było bez wyrachowania: liczono tu na niecierpliwość naszą. Podwoda konna robiła mil ośm, wołowa cztery zaledwo; tak odrywano oficerów od żołnierzy, z którymi sobie już łatwiej radzono; a jeżeli się oficerowie oddzielić nie dali i czekali na przybycie maży wołowych, niecierpliwiła się miejscowa żandarmerja, zasłaniając się tem, że ma rozkaz niezwłocznej ekspedycyi kolumn podług marszruty. Więc *a tempo* musiał ktoś z oficerów zachorować, aby uzyskać pół dnia lub dzień zwłoki. To snrowadzało znowu komisye, urzędnika i lekarza na karki, i oczywiście po prusku zapłacenie kosztów komisyi, misyi.

Wielkiej trzeba było rutyny wiedząc o tem wszystkim, na czem się pierwszych kilka kolumn rozbiło, aby siebie obronić w tym pochodzie i kolumnę, gdzie rząd tak absolutny, i cała ludność miejscowa trzymając z nim stawiała w każdym kroku nowe trudności i wstręt. Pomimo to jednak udało się tej kolumnie, złożonej ze stu dwudziestu żołnierzy i podoficerów, a czterdziestu oficerów, dostać do granicy saskiej nie straciwszy w tej całej drodze od Królewca i Żuław ani jednego człowieka, a udało się to głównie w ten sposób, żeśmy wołowe maże z wiarusami wysyłali przodem, a opłacając podwodom sute trinkgielidy, jechali zwolna tuż za niemi.

Ja trzymałem komendę tej kolumny i jadąc na ostatnim wozie nie wiedziałem nawet o tem, że czoło kolumny stanęło już na granicy saskiej.

Nie mogłem zrazu pojąć, coby znaczyło, że się tabor wozów zatrzymał. W tem przypadł do mnie na koniu wraz z żandarmem pruskim podoficer dragon saski pytając o komendanta kolumny, przywitał po wojskowemu i prosił,

abym się z nim udał na granicę, gdzie przez władzę i wojsko jest oczekiwana kolumna. Zsiadłem z wozu, a on zeskoczył z konia i rzekł do mnie bardzo uprzejmie, trzymając konia za cugiel i podając mi strzemień: „Choć to nie oficerski koń, ale że zaszczytem dla mnie będzie, że oficer polski na nim siedział, i że kawałek jeszcze do granicy, to może pan komendant raczysz wsiąść na konia?“ Podziękowałem mu, więc prowadził konia idąc za mną pieszo, co widząc żandarm pruski, także zsiadł z konia i szedł w niejakiem oddaleniu pieszo za nami.

Bombardjer z baterji artylerji konnej ks. Janusza Czetwertyńskiego, który ze mną na jednym wozie jechał, nazywał się Ówik. Był to stary żołnierz i miał krzyż legii honorowej i nasz wojskowy. Ks. Janusz odjeżdżając do Saksonii polecił mi go od serca; jakoż był Ówik nie odstępny przy mnie. Był to człowiek bardzo okazały, już w postaci jego i wyrazie twarzy leżało świadectwo jego dzielności i służby.

Gdy mi podoficer saski chciał podać konia, poskoczył Ówik i uściskał dragona. Dragon spojrział na krzyże i trzymając rękę przy hełmie, nie śmiał mu nawet oddać uściskienia.

Wskazał mu tedy Ówik na migi, aby szedł ze mną a on poprowadzi konia; i na to nie zezwolił dragon saski.

Mały mostek przedzielał tylko jedną granicę od drugiej, i wesoło się nam zrobiło na sercu, gdyśmy słupy graniczne saskie za mostem ujrzeli, malowane na jasnozielono i biało. Po lewej stronie za mostem stał piękny pawilon piętrowy, pod nim w szeregu pluton strzelców pieszych, a naprzeciwko niego po prawej stronie mostu pluton dragonów. Gdym na most wstąpił, prezentowały oddziały broń, a stary kapitan, który tu komendę trzymał, wyjechał od prawego skrzydła i powitał mnie wojskowo.

Tu wyszedł prezydent komitetu polskiego z dwoma jeszcze delegatami z pawilonu. A kiedy strzelcy odstąpili i złożyli w kozły broń, a dragoni zsiadli z konia, waliła się nasza wiara hurmem na most; a głośnym okrzykiem powitali nas wraz z prezydentem obecni wojskowi: „*Hoch Polen!*“

Scena bardzo rzewna nastąpiła. Wojskowi nasi i sascy bez różnicy stopni ściskali się serdecznie; stary kapitan, który razem z Polakami odbywał kampanie francuzkie, ozdobiony polskim i francuzkim krzyżem, stanął naprzeciw Ówika. Pojrzeli po sobie i kapitan spojrział na te wołowe maże, które naszych wiarusów przywiozły, i oba otarli łzę, a Ówik przykląkł koło granicznego słupa saskiego, pocałował ziemię i rzekł grożąc pięścią ku Prusakom: „Chyba by Boga na niebie nie było i tej Matki Boskiej Częstochowskiej w Jasnogórze, żebym ja na tobie Prusaku nie odbił tej naszej krzywdy, tych śledzi i podłych kartofli.“ „*Was ist das?*“ — wołali zdziwieni tem bardzo, że pocałował ziemię. Kapitan saski, który wido-



cznie chciał tę scenę zakończyć rzekł: „Nie ma się co dziwić, Polska i Saksonia miała wspólnych królów, a i my — dodał wskazując na krzyże — walczyliśmy jeszcze pod jednemi chorągwiami; więc stary żołnierz wstępując na tę ziemię uważa ją za swoją.“

Na piętrze pawilonu w pięknej salce było przygotowane śniadanie. Prezes komitetu wprowadził tu przybyłych, a ja udałem się z kapitanem na odwach, gdzie złożył paszporta i liczbę imienną wojskowych naszych, którą już miałem uprzednio przygotowaną i napisaną po niemiecku, jako komendant kolumny. Kapitan dał mi instrukcję co do dalszej podróży i oświadczył, że Lipsk oczekuje na przybycie polskich gości, i że na wypoczynek około dziesięciu dni w Lipsku kolumna zabawić będzie mogła.

Kiedyśmy wstąpili na salę, była już wrzawa przy stole. Polonia nasza nie pojmowała się od radości z ludzkiego przyjęcia Sasów, bo też całe przyjęcie było z wielką domyślnością serca zarządzane. Połączone herby Korony i Litwy z herbami saskimi, na tarczach malowane, ozdabiały salę, a pomiędzy nimi wisiały portrety Augusta drugiego i trzeciego Sasów, króla saskiego Księcia Warszawskiego, infantki saskiej, Kościuszki, Poniatowskiego, a nieco niżej litografowane portrety generałów Skrzyneckiego i Dwernickiego w wieńcach z świeżych kwiatów.

Przy śniadaniu wnoszono różne toasty, aż komendą wypadało zakończyć tę ucztę. Bardzo ozdobne ekipaże kupców lipskich i omnibusy wysłano aż tu na nasze spotkanie; a przybył także furgon z bielizną i odzieżą, przybył lekarz dla opatrzenia rannych i fryzjer dla kompletu toalety. W dolnych pokojach pawilonu założono garderobę i na prędcie szpital polowy, a w dobrą godziną po śniadaniu ruszyliśmy drogą ku Lipskowi. Kapitan od dragonów zdawszy komendę, jechał ze mną razem i z prezesem komitetu w pierwszym powozie; Ćwik siadł obok stan-greta na koźle, a kapitan częstował go w całej drodze cygarami i ogniem.

Już gdyśmy na pobojuwisko lipskie wjechali, spotkailiśmy powóz na gościńcu. W nim siedział oficer w mundurze artylerji pieszej. Ujrawszy okazałego Ćwika na koźle, krzyknął zdaleka po polsku: Stój! Jakoż zatrzymały się powozy, a Ćwik wyskoczył najpierwszy i podał rękę oficerowi wysiadającemu z powozu.

Był to kapitan Nieszokoć, który z Lipska wyjechał na spotkanie kolumny. Powitanie było krótkie, zapoznanie łatwe. Nieszokoć siadł do naszego powozu, który był obszerny, i razem z kapitanem saskim (gdyśmy właśnie na pobojuwisko lipskiej bitwy wjechali) wskazywali nam co chwila stanowiska to korpusów armii francuzkiej, to sprzymierzonych, tudzież jak się te korpusy rozwijały i postępowały w ciągu walnej bitwy. Dzień był piękny i rane skowronki grały już całym chórem, a na pobojuwisku było

cicho; wszędzie spokojne i sielskie widoki, nigdzie mogły ani grobowca, i zaledwo można było uwierzyć temu, że tu kiedyś wrzała straszliwa bitwa narodów, rozstrzygająca losy Europy i pierwszego cesarstwa. Zaledwo można było wierzyć temu, że tyle serc dzielnych spoczywa tu pod temi niwami, które się z pierwszą wiosną zielenić poczynają.

Gdyśmy się już ku Lipskowi zbliżali, kazał prezydent komitetu naszemu powozowi zjechać nieco z drogi, a kiedy inne powozy gościńcem ciągnęły dalej, wskazał na pamiętne miejsce, na którym mocarze świętego przymierza przykłękli, odebrawszy wiadomość o wygranej bitwie. Trochę rumowiska leżało na tem miejscu.

„Jako? — zapytałem prezydenta komitetu — i nie położono tu żadnego kamienia na pamiątkę tej chwili tak wielkich dziejowych rezultatów?“

„I owszem — odpowiedział — stał tu niegdyś pomnik; ale nie trzeba nam zapominać o tem, że w czasie lipskiej wojny został król saski w niewolę wzięty od sprzymierzonych, i nie miał powodu w kraju swoim szanować pomnika, który miał przechować pamięć jego zniewagi i odstępstwa od armii.“

Staliśmy dokoła rumowiska, gdzie niegdyś stał pomnik. Kapitan saski patrzył ponuro w ziemię i rzekł po krótkiej walce do Nieszokocia: „Żołnierz nie może odpowiadać za winy wodzów, ale to prawda, żeśmy was zdradzili, i ciężło mi to na sercu i cięży; i dlatego zapytuję cię kolego, czy mi możesz podać rękę na pobojuwisku lipskiem i na tem miejscu?—to kamień stoczy się z mego serca.“

Nieszokoć otarł łzę: „Wszystko przebaczone, wszystko zapomniane“—i rzucił się w objęcia saskiego kapitana, a prezydent rzekł: „Tego tylko pragnąłem; teraz możemy z lekkim sercem jechać dalej, bo w uścisku tych starych żołnierzy, którzy na tem pobojuwisku walczyli, wyrównała się cała krzywda dziejów.“

Ledwo żeśmy stanęli znowu na czele kolumny, a już na błoni ujrzeliśmy całą gwardję narodową lipską w szeregach uszykowaną, oczekującą na przybycie nasze.

Nieszokoć przesiadł się z kapitanem saskim do swego powozu, a ja jechałem z prezydentem komitetu dalej.

Komendantem gwardji narodowej był pan Brokhaus, księgarz lipski, ale bo też to była chwila, gdzieśmy na targ europejskiej księgarni wjeżdżali; więc bardzo naturalnie, że komendantem gwardji był księgarz. Powozy wstrzymały się na chwilę; gwardja oddała wojskowe honory kolumnie, a komendant gwardji jechał przy naszym powozie aż do bramy miasta.

Tu czekała na nasze spotkanie młodzież uniwersytetu lipskiego z rozwiniętymi chorągwiami, a muzyka zaczęła grać pieśń o „Starym wodzu.“ W kolumnie naszej było kilkudziesięciu żołnierzy i podoficerów z artylerji, więc gdyśmy z powozów wysiedli, krzyknął Ćwik na swoich



„Stój, równaj się!“ i w porządnym szyku stanęła artylerya i weszła w przedniej straży uszykowana za Ćwikiem do bramy.

Tu zrobił się serdeczny zamęt i pierwsze toasty wypito już w bramie miasta. Tłum obywateli zmieszał się tu z naszymi wiarusami, bo każdy chciał mieć Polaka w gościnie, i lubo, że bardzo Ćwik się tem gorszył, rozegrali mu panowie i panie całą jego komendę, i tłumnie weszliśmy do miasta poprzedzeni tylko szeregiem akademików i muzyką, która nas aż do sali komitetu odprowadziła. Tu rozprószyła się wiara po mieście, i dopiero wieczorem ujrzelśmy się znowu w teatrze, gdzie grano „Starego wodza.“ Ja pozostałem w komitecie i odnowiłem tu znajomość z Wincentym Tyszkiewiczem, który podówczas w Lipsku orędowną Polonii. Przesławszy na jego ręce raport do generała Bema o przybyciu kolumny do Lipska, otrzymałem niezwłoczny rozkaz, abym się udał do niego.

Jenerał bawił podówczas w małym, udzielnym księstwie saskim w Altenburgu; a kiedy tam przybył wieczorem, był jenerał w teatrze. Udałem się więc do teatru, nie dlatego, aby odszukać jenerała, bo tam szły rzeczy po służbie, więc tylko w swoim czasie i miejscu można było przed jenerałem stanąć, ale dla tego, aby zabić resztę wieczora, z którym nie wiedzieć co czynić było wśród nieznanym ludzi i w miejscu dla mnie obcym.

Tu natrafiłem na osobliwą reprezentację, na wielki świat małego miasteczka. Teatryk był wcale ładny, ale tak mały, iż po wielkich scenach wydał mi się jak gdyby był dla dzieci zbudowany; za to też była z całym przepychem i okazałością urządzona wielka łoża panującego księcia, oświecona więcej od samej sceny. Było to między aktami i w dworskiej łoży dawano herbatę z całym ceremoniałem dworskim i podług etykiety stylu R o k o k o. Otóż nie teatr dawał zajmującą reprezentację, ale ta łoża, w której się odgrywała jak gdyby jedna scena Wersalskiego dworu z XVIII wieku. Jakoż trzeba było przyznać, że ta scena była dobrze odegrana, a nawet znacznie lepiej od scenicznego przedstawienia.

Ale jakże mi się to dziwnem, jak zastarzałem wydało, a to tem więcej gdy widział to, że cała publiczność brała więcej udziału w reprezentacji dworskiej herbaty, niż w reprezentacji scenicznej.

Nazajutrz udałem się do jenerała około godziny dziewiątej; rozmawiał ze mną około dwóch godzin, ale źle mówię, bo jenerał nic nie mówił, tylko stawił mi same kwestye, na które odpowiadać musiałem z kolei. Był to wyraźny egzamen, bo jenerał wypytywał mnie o stosunki żołnierzy naszych w Prusiech, o odbytą drogę, o ducha oficerów i żołnierzy, a następnie pytał długo i obszernie o przeszłość moją, o odbyte nauki, mówił o literaturze, charakteryzował w krótkich wyrazach usposobienie dzisiejsze Niemiec, a rzuciwszy nadzieję legionów polskich

we Francyi rzekł mi: „Zdaje mi się, że liczyć na ciebie mogę, więc chcę, abyś objechał wszystkie komitety „Przyjaciół Polaków“ wzdłuż Bawaryi do Renu i napowrót częścią północnych Niemiec omijając Prusy. Chcę mieć wszakże to przekonanie, że to dobrze zrobisz.“

„Wykonam niezawodnie rozkaz panie jenerale“—rzekłem mu na to.

Uśmiechnął się i rzekł: „Świeżo się znamy, więc muszę cię postawić na próbę. Napiszesz mi do jutra sam instrukcyę dla siebie do tej podróży i przyniesiesz mi ją jutro; jeżeli zrozumiesz, czego potrzeba dla rzeczy, to cię wyszłę w tę podróż; jeżeli nie, nie będę ci miał tego za złe, bo za pojętność stosunków nikt nie odpowiada; w takim jednak razie powrócisz do kolumny i odprowadzisz ją do Francyi, bo kontent jestem z ciebie jako z komendanta tej kolumny.“

Wróciwszy do mego pomieszkania, znalazłem się w dziwnem położeniu pisania instrukcyi dla samego siebie. Wszakże tu dopiero oceniłem trafność tego rodzaju zdania ze strony jenerała dla człowieka, który miał złożyć egzamen.

Wypadało wszystko przewidzieć, co w takiej podróży dla przechodzących kolumn polskich przygotować i zrobić przyjdzie, celem przeprowadzenia o bardzo małych funduszach wielkiej liczby ludzi, i to jeszcze w czasach, w których niebyło kolei żelaznych, i pod wpływem stosunków politycznych, które tylko dlatego telerowały to przejście, bo sympatyę wszystkich warstw społecznych mieliśmy za sobą, a rządy miejscowe lękały się tu konfliktów władzy z usposobieniem powszechnem, i *quasi nesciretis* działo się niejedno i z tej i z owej strony. Instrukcyja, jak mi to jenerał na wychodnym powiedział, miała być krótką, a jednak miała obejmować wszystko. Na wypracowaniu tej krótkiej instrukcyi zeszło mi resztę dnia, i ledwo wieczorem wyszedłem znowu na miasto, aby się posilić.

Gdy jenerałowi nazajutrz złożył instrukcyę, przejrzał ją szybko, przemazał dwa punkta, dodał po kilka słów przy niektórych innych, kazał ją spiesźnie przepisać oficerowi, który był przy nim na służbie, a podpisawszy ją, dał mi paszport i pieniądze na drogę, polecił, abym mundur zostawił w Lipsku i w cywilnem ubraniu odbywał tę podróż, a oddając mi paszport, pieniądze i instrukcyę rzekł: „Bądź zdrów, do czterech tygodni czekam cię tu.“ Tu wręczył mi także cztery małe listki opieczętowane i tylko numerami oznaczone z wierzchu i dodał: „Tu masz hasło i odzew na cztery następnych tygodni; co sobotę zmienia się hasło po capstrzyku, to ci wystarczy na ciąg podróży, i hasło otworzy ci drzwi u Niemców a serce u naszych, których spotkasz w drodze. Haseł tych trzeba bardzo pilnować i niewolno odpieczętować przed czasem. Jeżeli bym je odmienił, dowiesz się o tem. Raport co trzy dni przesyłać mi będziesz pod dawniejszem adresem.“



Nie znalazłem oficera, który był wówczas przy jenerale na służbie, ale on mi już zamówił z rozkazu jenerała powóz, który stał przed moim pomieszkaniem, i wyprawił mnie spieszno z Altenburga napowrót do Lipska, nakazując to jeszcze ze strony jenerała, aby nikt w Lipsku nie wiedział, dokąd i zczem jadę.

Tu dopiero oddał mi oficer od służby moją marszrutę i spis miast i komitetów, które objechać miałem. Zadanie było przyjemne, choć czasami trudne; to, co ułatwiało zetknięcie się z ludźmi pod wpływem trudniejszych politycznych stosunków, była życzliwość miejscowych ludzi, na których natrafiałem wszędzie. Łatwo było odpytać w każdym mieście, gdzie jest klub lub kasyno „Przyjaciół Polaków“. Ale dziwna rzecz, jeden tylko jenerał Bem wiedział o wszystkich komitetach i znosił się z nimi, ale jeden komitet nie wiedział o drugim, choć czasem ledwo dwie stacje przedzielały miasto od miasteczka, a jeden komitet od drugiego.

Komitety te były się potworzyły jeszcze w czasie wojny z Moskalami. Jednomyślni obywatele zgromadzali się razem, czytali gazety i entuzjasmowali się tak nierówną heroiczną walką, w obronie narodowości i w obronie Europy prowadzoną.

Kiedy nowa Grecja wywalczała niepodległość swoją, działo się to samo w Niemczech. Sympatye te były czysto humanitarnej natury. W sprawie polskiej widzieli Niemcy obrażone prawa ludzkości, a ostatecznie niepokoiła ich myśl, że Rosya może kiedyś z biczem Atyli w ręku zalać całą cywilizowaną Europę.

Tak tłumaczyły ówczesne usposobienie Niemiec pisma publiczne, tak przedstawiali sprawę polską w dziełach i poezjach pisarze niemieccy.

Komitety „Przyjaciół Polaków“ zbierały w czasie wojny naszej bandażę i szarpie dla rannych Polaków; w naiwności wszakże politycznej oddawały te posyłki na ręce swoich rządów, a tak dostawały się one najczęściej do rąk i szpitali moskiewskich. Wszakże jak nietrudne było przejście od komitetów greckich do komitetów polskich, tak też poszło od zbierania bandaży i szarpii, do zbierania składek, kiedy po roku 1831 coraz więcej do Niemiec przybywało Polaków ciągnących do Francji.

Niemcy, co wszystko porządnie robić lubią, dali i tym usiłowania, które świadczyły o duchu i gościnności niemieckiego narodu, pewną organizację.

W każdym więc miasteczku małych księstw niemieckich wiązały się komitety, i wszędzie przygotowano pie-

nieżne fundusze, bieliznę i odzież na potrzeby ciągnącej do Francji Polonii.

Jenerał Bem był wówczas w Niemczech najpopularniejszym człowiekiem. Od szarży artylerji konnej pod Ostrołęką mówiono tylko o nim, i w nim pokładano całą nadzieję sprawy polskiej. Jakoż wpływał jenerał przez dzienniki przybywszy do Niemiec stanowczo na opinię publiczną, a czuwanie nad dziennikarstwem miejscowem było jednym z głównych zadań jego podwładnych. Tą gałęzią jak mówię, kierował sam, i stosownie do potrzeby trzeba było z rozkazu jego redagować artykuły do pism publicznych, i zawierać stosunki przyjaźne z redaktorami, z publicystami i poetami.

Jenerał Bem był pierwszym, który sprawę polską na tę kolej wprowadził, i po ucisku cenzury, od czasu kongresu wiedeńskiego aż do wojny naszej, przemówiły dzienniki po raz pierwszy swobodnie, i postawiły Moskwę na przęgierzu opinii publicznej, w odpowiedzialności za rozbiór kraju i samowładne rządy w. ks. Konstantego w czasach najnowszych.

W każdym komitecie znajdowały się znaczne zapasy to pieniędzy, to bielizny i odzieży, ale nie znajdowały się w punktach, gdzie były rzeczywiście potrzebne. Wpadało objechać wszystkie komitety i zarządzić stosowne przesyłki i rozdział efektów. Jeden komitet z drugim nie chciał wprost traktować, na to trzeba było pośrednictwa jenerała Bema, do którego zakwitowania z odebranych efektów lub pieniędzy przywiązywano wielką wartość pamiętkową. W istocie podziwiałem, jak porządnie te archiwa prowadzone były. Jenerał dawał nam tedy blankiety podpisem swoim opatrzone w kwitariuszu sznurowym, a czterech nas było, którym tę czynność polecił. Był kapitan Bansomer, oficer od zapasów artylerji; był kapitan ks. Janusz Czetwertyński, dowódca baterji artylerji konnej na Litwie, byłem ja i Mikucki, którego nigdy nie widziałem, i z którym się tylko na listy znosiłem.

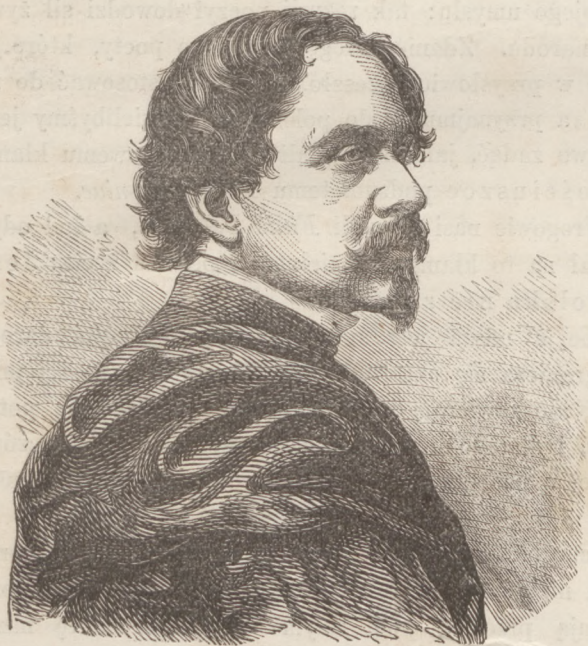
Dziwna rzecz, czem mniejsze miasteczko, tem był większy udział dla sprawy polskiej, tem większa łatwość zebrania składek, lub efektów, co więcej właśnie tam, gdzie panujący książęta byli pokrewnieni z Moskwą, i gdzie rząd był nam najmniejczliwszy, tam właśnie natrafialiśmy na najszczerzych przyjaciół, tam było najłatwiej o paszport, o bezpieczny przejazd, lub bardzo pewne ukrycie, jeżeli tego była potrzeba; przewozili nas akademicy lub obywatele miejscowi, a o niebezpieczeństwie ostrzegała sama żandarmerja.

(Dok. nast.)





1.



2.



3.

1. Teofil Lenartowicz.

2. Kornel Ujejski.

3. Bohdan Zaleski.



# WIZERUNKI

## ŻYJĄCYCH ZNAKOMITOŚCI NARODOWYCH.

### II. POECI.

#### TEOFIL LENARTOWICZ.

Rozpoczęty został szereg „Wizerunków“ pisarzami naszymi. Zajmują u nas ci „bohaterowie pióra i słowa“ istotnie miejsce obok bohaterów czynu, ważniejsze niż w jakimkolwiek innym narodzie. Musieli oni bowiem wywalczyć sobie stanowisko nie tylko, jak gdzie indziej, w opinii literackiej, ale musieli walczyć z potęgami nieprzyjacieli w życiu narodowemu. To co oni wywalczyli dla siebie, wywalczyli dla narodu.

Mówiliśmy o męczach w jednym z poprzednich zeszytów, którzy potęgą pracy i talentu przemogli nieprzyjacielskie stosunki i zniewolili do uznania nawet nieprzyjaciół narodowości, do oddania ich pieczy instytucji naszych naukowych, powierzenia im katedr i t. p.

Lecz jest jeszcze inna, właściwa naszemu położeniu, droga działania, jest inny rodzaj walki, jest broń, której się lękają nieprzyjaciele narodowości, której nienawidzą, a przeciw której nie mają siły, bo nawet zwierzęcy gwałt nie przeciwko niej nie pomoże. Jest to walka za pomocą słowa: broni, której ani stąpić ani wydrzeć narodowi nie można. Toż rozsądna polityka zaniechała w naszym kraju walki przeciwko tej potędze i czyni ją sobie przez to nieszkodliwą.

Słowo zajęło w dziejach naszego narodu szczególnie ważne stanowisko, ważniejsze, niż któregośkolwiek z innych narodów nowożytnych.

Bywało ono zawsze jedną z najdzielniejszych dźwigni życia publicznego. Naród polski rozwijał u siebie to życie w całej pełni. Dlatego kwitła w tym narodzie wymowa.

Na tej drodze powiedzielibyśmy niemal, że urabiało słowo dzieje naszego narodu, a przynajmniej znakomitą takowych część.

Przestarzała jest to już formuła porównywać dzieje z dramatem. Mało jest wszakże narodów, których dzieje posiadałyby do tego stopnia artystyczne warunki dramatu, jak dzieje Polski, a to właśnie dlatego, że obok czynów zajmuje tu nader ważne stanowisko słowo, obok akcji wojennej i politycznej wymowa.

Ale słowo mogło tylko tak długo objawiać się w kształtach wymowy, jak długo trwało życie publiczne, a to ustało, gdy w życiu politycznym narodu nastąpiła przerwa.

Przerwa mówię — nie śmierć. Nie mówię zaś tego dla dogodzenia uczuciu patryotycznemu, ale z przekonania

o prawidło dziejowem, wedle którego naród nie umiera jak długo jego słowo żyje.

Najżywotniejszym dowodem, że narodu jakiego nie dotknęła jeszcze śmierć historyczna, jest to, gdy słowo jego żyje w pieśni.

Język umarłego narodu może jak technienie pośmierne, jak puścizna martwa być naśladowanym i używanym przez obcych, może być językiem instytucji, kościoła, szkoły, uczonej literatury, ale nigdy językiem pieśni ludowej. Natchnienie i gorące uczucie, które płynie z serca ludu, niewyleje się nigdy w obcym i martwym języku.

Jeżeli zdanie wielkiego poety, że to musi zaginać w rzeczywistości, co ma żyć w pieśni, jest prawdziwe, to niestosuje się ono żadną miarą do narodów.

Poezja, słowo w pieśni, znamionuje siły żywotne narodu. Jak stary Sofokles powołał się na świadectwo dramatów w starości napisanych, gdy go dzieci jego o z dziecinnością przed sąd wezwały, i dowiódł słowem żywotnych sił swojego umysłu: tak rozwój poezji dowodzi sił żywotnych narodu. Zdanie owego wielkiego poety, które już prawie w przysłowie przeszło, nie da się stosować do narodów, a przynajmniej do polskiego. Musielibyśmy jemu kłamstwo zadać, jakieśmy zadali kłamstwo owemu kłamliwie Kościuszce podsuniętemu *Finis Poloniae*.

Wrogowie nasi zmyślili *Finis Poloniae*, a lud odpowiedział na to kłamstwo dzielnym i pełnym życia: Jeszcze Polska nie zginęła.

Poezja nasza jest świadectwem żywotności narodu. Nie ogranicza się ona tylko na obrazowaniu naszej przeszłości, ale zawierają się w niej zarysy przyszłej potęgi narodu, i dlatego nie można ganić tej nazwy „wieszczów“, dawanej u nas poetom, chociaż wydaje się ona pretensjonalną.

Znaczna część poetów naszych opiewa rzeczy przyszłe, a niektórzy z nich, chociaż nie opiewają przyszłości, zasługują przecież pod innym względem na tę nazwę wieszczów czyli poetów przyszłości. Można bowiem przewidzieć, że utwory ich będą kiedyś w ustach całego ludu naszego.

Do takich należy Lenartowicz.

Lenartowicz urodził się i wychował w Warszawie, z kąd nie byliśmy przyzwyczajeni widzieć dochodzących znakomitych utworów poetyckich. Warszawa, jak w ogólności wielkie miasta, sprzyjała bardziej rozwinięciu reali-



stycznego kierunku w literaturze. W najlepszym zaś razie znajdowały tam z poetycznej literatury powieść albo dramat sposobne pole. Najmniej obfitowała Warszawa w prawdziwą liryczną poezję. Lenartowicz też póki tam żył, nie występował bynajmniej ze swojemi poetyckimi pracami, jakoby pozostawał pod tą klątwą pozbawiającą Warszawę zdolności do liryzmu. Nie chcemy się tu wdawać w rozbiernie tej kwestji, czy sąd ten o Warszawie był słuszny lub nie; zdawał się usprawiedliwiać go ówczesny faktyczny stan literatury. Lenartowicz wystąpił pierwszy raz z większym utworem poetyckim, gdy się znalazł na obszernem polu swobodnego ruchu politycznego. Był to w Krakowie w r. 1848, gdzie wydał „Cztery Obrazy.“ Już tu się objawił kierunek, jaki później w poezjach Lenartowicza stanowczo wystąpił: kierunek zbliżający się do pieśni ludowej. W pierwszych utworach przeważa duch patriotyczny, w późniejszych zaś staje się Lenartowicz coraz bardziej religijnym.

Prostota w wyrażeniach, dźwięczność i niewymuszość wiersza, obrazy i porównania brane z najpowszedniejszego otoczenia ludu wiejskiego, z przyrody sielskiej, czynią poezje Lenartowicza tak przystępnymi dla ludu, że gdyby lud ten był dziś już przejęty duchem patriotycznym, jaki wieje z pieśni Lenartowicza, to niezawodnie słyszeliśmy je śpiewane po naszych niwach od jednego końca Polski do drugiego.

Lud polski nie obudził się jeszcze we wszystkich częściach dawnej Polski do tak żywego pojęcia i tak porającej miłości Ojczyzny, jaka tchnie z pieśni Lenartowicza i innych naszych poetów. Miewaliśmy tylko w niektórych krainach i miejscach w czasach ostatnich objawy takiej miłości Ojczyzny między ludem. Nie przeszły więc pieśni Lenartowicza w usta ludu, jak niegdyś pieśni Dantego, aby je śpiewał rzemieślnik przy swym warsztacie a rolnik idący za pługiem. A jednak nie bez powodu przypominamy tu właśnie ową popularność pieśni Dantego, bo posiadamy właśnie Lenartowicza utwory napisane dantejskim nastrojem. Wszakto jego „Błogosławiona“ i „Zachwycenie“ są dantejskie utwory, odziane tylko w barwy prostej ludowej wyobraźni. Za to jego „Cztery Obrazy“, „Polska ziemia“, „Sowiński“ albo „Bitwa Racławicka“ są kawałkami epeji narodowej, zastosowanej pod względem formy do wykształcenia i potrzeb umysłowych ludu, a pod względem treści do tych jego potrzeb moralnych, które się w nim dopiero budzić zaczynają.

Lenartowicz jest nawet w tych utworach poetą ściśle ludowym, których przedmiot jest obcy pojęciom naszego ludu. Jest takich niewiele, bo serce ciągnęło zawsze Lenartowicza do ludu polskiego, za którym tęskni żyjąc od lat tylu jako wygnaniec.

Utwory Lenartowicza, które nie są napisane w formie poezji ludowej, nie zjednały sobie tego uznania co tamte,

choć nie można im żadną miarą odmówić wielkich zalet poetyckich. Zanadto wszelako zajmuje nas wzniosła prostota „Błogosławionej“, „Zachwycenia“ i „Bitwy Racławickiej“, ażebyśmy chcieli stawiać z niemi na równi „Gładjatorów“ lub inne podobne. Lenartowicz jest jednym z tych poetów, co budzą z uspienia ducha ludu naszego, jest on jednym z piastunów duszy drzemiącej, i kołysze ją pieśniami swemi, jak matka śpiącą dziecinę, aby gdy się obudzi, wyniosła ze świata snów nastroj patriotycznego natchnienia w rzeczywisty świat czynów.

Słusznie nazwał Lenartowicza jeden z piszących o naszej literaturze \*) poetą przyszłości, i chociaż się z tym autorem w innych jego zdaniach nie zgadzamy, to przyznajemy, że wiele jest prawdy w tym jego sądzie o Lenartowiczu. Rycharski nazywa Lenartowicza „lubownikiem nowej ery.“ Wyrażenie to nie zdaje nam się trafnem; my powiedzielibyśmy, że Lenartowicz jest poetą nowej ery, i radzibyśmy przypuścić nawet, że tu zaszedł błąd drukarski, że zamiast budownikiem wydrukowano lubownikiem. Godziłoby to się z drugą częścią tego zdania, na którą zgadzamy się najzupełniej, t. j. że lud, któremu Lenartowicz śpiewa, jest budulcem nowej ery. Niemniej zgadzamy się i na to, że Lenartowicz widzi „królestwo boże okiem gołej intuicji“, jednak patrzy on na nie okiem prostaczka ludu i w takich barwach je przedstawia, w jakich lud je pojąć może. Nie masz tu tych głębokich, umiejętnych poglądów odzianych w szatę poezji, jakie w Dantego poemacie znajdujemy, ale są to obrazki dla chaty wieśniaczej, przed jakimi ludek nasz modli się w prostocie ducha.

Lenartowicz mieszka w ojczyźnie Dantego i śpiewa o niebieskiej i ziemskiej ojczyźnie. Dante wytechnął dla ojczyzny swoje życie i oświecił ją swoim geniuszem, a wreszcie stanęła jego ojczyzna u tego kresu, którego on dla niej pragnął. Lenartowicz poświęcił podobnie swoje życie i swój talent ojczyźnie, a chciemy wierzyć, że ujrzy ją u tego kresu, który jej wytyka wieszczym duchem, że zabrzmiały jego pieśni w ustach ludu po wszystkie krańce Polski.

#### KORNEL UJEJSKI.

Pisać o mężu, na którego żywot patrzyliśmy od dzieciństwa prawie, z którym przeżyliśmy wiele chwil razem, jest to pisać część własnego żywota. Wybaczą nam też czytelnicy i wybacz sam ten, o którym piszemy, jeżeli więcej w tym króciuchnym zarysie będziemy się spowiadać z wrażeń, niż opowiadać, a więcej opowiadać niż krytykować. Dobiegając już do połowy wieku wyrokiem Stwórcy ludziom zakreślonego, a przeszedłszy niezawodnie połowę tych lat, które nam samym przeżyć wypadnie, poglądamy radzi przy każdej sposobności za siebie, a zwłaszcza na ostatnią tej połowy połowę, gdzieśmy z młodzieńców na mężów wzrastali.

\*) Rycharski.



Jest temu prawie ćwierć wieku, kiedy ze szkolnych jeszcze ławek odezwał się głos zapowiadający niepospolitego poetę. Ale początki bywają często złudne. Niejednemu albo sił nie starczyło, aby rozwinąć to „ziarnko gorczyczne we wielkie drzewo, na którymby ptacy niebiescy siadywali,“ albo nie odpowiedział opoczysty grunt serc ludzkich, na które ziarna swoje rzucał i ziarno zmarniało.

Ujejskiego talentowi sprzyjały w każdym z tych względów stosunki w początkach. Potęga jego wyobraźni, ogień uczucia, świetność pomysłów obudziły zaraz po zjawieniu się pierwszych prób jego talentu żywe zajęcie wszystkich ludzi baczniejszych na rozwój ducha narodowego. W opisach uciekających z ręki do ręki przed śledczym okiem policji krążyły te pierwsze utwory, odczytywane tylko w bardzo poufnych kółkach, dokąd nie doszło ucho czuwających nad każdym tchnieniem tego olbrzyma, którego przytłoczyli ciężarem ucisku, porazili na umyśle obłędem. Dla nas ten olbrzym był świętością, skarbem, dla nich zdobyczą, narzędziem. Młodociany umysł Kornela ogarnął całą potęgą miłości bez granic i namiętności poetyckiej tego olbrzyma — naród — i wyspiewywał tę miłość namiętną w pieśniach pełnych wdzięku i zapału.

Posiadamy dotąd jedną z najwcześniejszych tego rodzaju pieśni, spisana własną ręką młodocianego autora, wtedy gdy o przejściu jej przez cenzurę nie można było marzyć. Jestto Maraton z datą 10. stycznia 1845. Każdy z nas czytając o Maratonie, myślał o przyszłym Maratonie Polski, gdy czytał o Grecji myślał o Polsce i dla tego rozumieliśmy autora przy słowach:

...Tchu!... Głosu... Grecja żyje!

i rozumieliśmy czytając wiersz:

I padł jękając: zwycięstwo!... już nieżył,

dłaczego z takim poselstwem można i warto wycchnąć życie, i przyjmowaliśmy z pokorą dumne karcenie z ust młodzieńca:

Dawnych olbrzymów przed wami postawię,

I niemi wskrzeszę cały świat zamarły,

Może choć wtenczas przy waszej niesławie,

Ze wstydem przyznacie, że jesteście karły.

To pragnienie czynu wielkiego, tę tęsknotę za przemianą istniejącego stanu rzeczy, gorączkową chęć przyspieszenia „nowej ery“ wyspiewał Ujejski z duszy ówczesnego pokolenia. Pragnienie stało się wkrótce czynem, i okropna burza zawisła nad naszą krainą. Nastąpiły dnie ciężkiej pokuty i ciężkiej żałoby. Boleść krwawa, rozpaczliwa, prawie bluźniercza jęła się najtęższych umysłów, i kiedy wszyscy, co chcieli „wskrzeszenia świata zamarłego,“ po tak okropnym zawodzie zostali pogrążeni w niemej żałobie, nadał Ujejski wyraz tej żałobie i wyspiewał, co wszystkie serca czuły w Skargach Jeremiego.

Skargi Jeremiego odkryły w Ujejskim od razu poetę posiadającego wszelkie warunki do zajęcia miejsca

w pierwszym rzędzie poetów polskich. Odpowiedziały one na razie uczuciu tylko jednej części narodu, a to tej, której serce rozdarte zostało na widok nienawiści między bratnimi warstwami społeczeństwa. Ale gdy się duch narodowy zaczął silniej rozwijać, stały się te pieśni hasłem patriotycznego uczucia. Każdy Polak czuje to razem z autorem, że Skargi te nie są przeciwko zwaśnionym braciom zwrócone, ale przeciwko wrogom, którzy podszepty swojemi waśń rozdmuchali i na swoją korzyść ją obrócili ku przygnębieniu obudwu stron zwaśnionych. Lecz pomijając już to znaczenie polityczne i społeczne Skarg Jeremiego, stoją one jako utwór poetycki bardzo wysoko i należą do najcelniejszych tak między Ujejskiego poezjami jak i w poezji polskiej w ogóle.

Ujejski zwrócił się w owym czasie ku studjom biblijnym i zaczerpnął z tej skarbnicy poetyckiej rzeczywiście garść najpiękniejszych klejnotów, którym nadając nowe kształty, odbił w nich z całą potęgą prawdziwego poety nowożytnego ducha.

Odtąd stał on się ulubieńcem narodu, odtąd też, co najpiękniejszego stworzył Ujejski, wszystko było albo na biblijnych osnowane tematach, albo na wspomnieniach najdroższych narodowi. Niepierwszy Ujejski upatrzył podobieństwo między losami biblijnego a polskiego narodu, ale on pierwszy umiał opiewając przedmioty biblijne tak trafić w serce naszego narodu. Jeden tylko z tych utworów uczynił na nas wrażenie raczej studium poetyckiego, niż dzieła wywołanego szczerem miłosnym natchnieniem, a tym jest Pieśń Salomonowa. Zdaje nam się zresztą, że ubliżylibyśmy i czytelnikom i autorowi, gdybyśmy w tem wspomnieniu o Ujejskim, które nie ma być szczegółowym rozbiorem prac jego, chcieli przypominać, co on napisał. Dopuścimy raczej niedyskrecyi tej, że zdradzimy tajemnice jego teki i upomnimy, aby swoich Buczackich wykończył i z ukrycia wydobył.

Ujejski ma już w lirykach i epikach swoich często zakrój dramatyczny. Jego prześliczne transkrypcje poetyckie kompozycji Chopina noszą tę cechę; z epicznych nade wszystko uroczy poemacik „Po latach ośmnastu“ jest sam w sobie dramatem opowiedzianym.

Do najcelniejszych ogłoszonych drukiem należą Melodje biblijne. Niechcemy wszakże przez to ubliżać wielu innym jego utworom, któremiśmy się zachwycali. Z nieogłoszonych (przynajmniej niecałkowicie) jest Samson najcelniejszym. Dokończenie Samsona jest długiem, którego spłaty się domagamy.

Zarzucają Ujejskiemu niektórzy, „że przestał spiewać!“ Niesłuszny to zarzut. Że duch jego jest czynny, najlepszym dowodem jest wiersz pełen ognia i siły, któryśmy czytali niedawno na kartach tego pisma.

Co innego widzimy w rozwoju jego ducha. Rok 1846 i 1848 zdaje się że jest kulminacyjnym punktem w jego



poetyckiem życiu. Samson powstał w owym perjodzie; a „Po latach ośmnastu“ jest poetyckiem uświetnieniem roku 1848. To wskazuje, jak ważną epokę stanowi ten rok w życiu poety, któreto życie zrosło się z dziejami narodu. Zawody z r. 1848 i 1864 nieosłabiły w nim wiary i nadziei, wypowiedział on ją, już nie w formie poezji, ale w mowach mianych ostatnimi czasy publicznie. To nam pozwala tuszyć, że Ujejski nie oddał się spoczynkowi, nie złożył potężnej broni, która przybiera w jego ustach piorunne kształty — broni Słowa.

#### BOHDAN ZALESKI.

Jestto jeden z niewielu poetów naszych, których dzieła noszą na sobie cechę genialności. On jest twórcą nowych form, nowego rodzaju poezji. Ztąd pochodzi, że nie mogąc ująć pod pewne już przyjęte w literaturze kategorie, piszący o literaturze naszej poetyckiej czynią najrozmaitsze porównania między Zaleskim a wszystkimi innymi poetami naszymi.

Przedewszystkiem jest odszczególniającą go od innych właściwością ta spiewność wiersza, w której mu nikt nie dorównał. Pieśń każda Zaleskiego jest nietylko utworem poetyckim, ale zdaje się, jakoby na dnie jego duszy znajdowała się odpowiednia do tej pieśni melodia. Czuł to Mickiewicz, gdy go nazwał „słowiczkiem“. Jest bowiem coś słowiczego w utworach Bohdana. Jeżeli kiedy jaki umiętny badacz języka zechce odszukać w naszej mowie zaginiony ślad rytmu (który wszystkie nowożytne języki postradały), to najnsadniej posłuży mu do tego wiersz Zaleskiego.

Obok tej wydoskonalonej techniki języka jest w jego poezji niezmiernie bogactwo obrazów, wzniosłość uczucia, głębokość pomysłów, a przytem wszystkiem prostota wyrażen.

Dumy, dumki, szumki, rusałki czynią go poetą ludowym; lirykiem zarówno jak epikiem ludu, ale i sielankarzem jest Zaleski, i jest często w jednym i tym samym utworze wszystkim razem.

Kto poznał Zaleskiego z pierwszych jego ogłoszonych drukiem utworów (a któż nie nucił za młodu Dumy o Kosińskim?), kto się raz poznał z dźwiękiem jego wiersza, ten potrzebował później usłyszeć dwa, trzy wiersze jakie nieznanego utworu, aby odróżnić po tym dźwięku Zaleskiego z pośród innych poetów.

A jednak czynił sobie ten tak odrębny talent igraszkę ze znawców jego dźwięku. Pomnimy, gdy się pojawiły pierwszy raz w jednym z naszych cenzurowanych pism Rojenia wiosenne. Z właściwym sobie zmysłem krytycznym zwrócił stary Jan Nep. Kamiński uwagę na celność tej poezji. Nieodgadywaliśmy pod tą postacią uroczej sielanki autora dum i dumek, ale odgadywaliśmy jakiegoś nowego mistrza. Podziwialiśmy dźwięk wiersza

i dziwiliśmy się, że dorównał Zaleskiemu. Gdyśmy się dowiedzieli, kto jest autorem? przestaliśmy się dziwić a zostało zachwycenie. Toż znalazły Rojenia wiosenne i kompozytora godnego ich twórcy. Już niebyło tego złudzenia, a raczej tej niepewności, gdy nam zabrzmiała i uderzyła całym urokiem swojego dźwięku, rzewnością i głębokością uczucia piosnka „U nas inaczej.“ Poznał w niej każdy odrazu poetę, który przelał w tych kilka niewielkich zwrotek całą swoją bezmierną miłość ojczyzny i prawie równie bezmierną tęsknotę za nią, której przedstawicielką niejako była dla niego piękna Ukraina.

Dusza Zaleskiego doznała w późniejszym wieku przemiany, jakiej doznało kilku z naszych najcelniejszych poetów. Był on zawsze wielce religijnym, ale póki w młodszym umyśle wrzało jeszcze gorące pragnienie, aby zobaczyć raz jeszcze w życiu tę ojczyznę wolną i szczęśliwą, za którą w tęsknocie trawił swój żywot, póty miotał się i talent jego to ku świetnej przeszłości, otoczonej przez poetyczną wyobraźnię złocistą aureolą, to ku tej kolebce swojego dzieciństwa, ku tej Ukrainie, której zawdzięczał najpiękniejsze swoje natchnienia; to wreszcie w rozpaczliwym uniesieniu ku niebiosom, gdzie jeszcze chciał szukać swojej Ukrainy i Polski, jakoby utraconego raj.

Ale gdy duch jego zmęźniał i walka uczuć się uspokoiła, wystąpiło z głębi duszy religijne natchnienie i wypłynęło z niej szerokim strumieniem poezji, ogarniając już nietylko ojczyznę, nietylko jej przeszłość wspaniałą, ale dzieje i przeznaczenie całej ludzkości.

Opowiadał jeden z odwiedzających Zaleskiego w Paryżu, że miewał on chwile, kiedy wśród najswobodniejszego i wesołego igrania w rozmowie z żoną swoją albo przyjaciółmi, przerywał nagle rozmowę i mówiąc jakoby do siebie: „modlić się“ popadał w milczące zachwycenie. Takich to chwil owocem jest zapewne poemat jedyny w swoim rodzaju „Przenajświętsza Rodzina.“ Jest tutaj nietylko forma nowa w traktowaniu tego rodzaju przedmiotów, ale jest i treść nowa, pomimo że przedmiot odwieczny. Jestto sielanka zarazem i poemat bohaterski. Powiedzieliśmy, że treść tego poematu jest nowa. Komuż bowiem przyszło przed Zaleskim na myśl opisać w sposób jakoby naocznego świadka wędrówkę Przenajświętszej rodziny do Jerozolimy, jej powrót ztamąd, te troski macierzyńskie o zgubionego Jezuska, i wszystkie te dzieje, któremi zapełnione są niezliczone księgi uczonych teologów, pobożnych mędrców, księgi stanowiące przeważny dział w literaturze wszystkich narodów chrześcijańskich? Wzniosłość i prostota idą tu w parze, a to wszystko odlane w Zaleskiego wierszu niezrównanego dźwięku przeznacza poemat ten, podobnie jakieśmy to mówili o Lenartowiczu „Błogosławionej“ i „Zachwyceniu“ na to, aby pieśń tę lud spiewał może kiedyś jeszcze po wiekach, jak spiewał i spiewa „Boga Rodzicę.“



Od tej sielanki przenosi się poeta, którego umysł coraz wyżej dąży i nie może pozostać w jednej sferze natchnień, do jakichś przedziwnych rozmyślań poetycznych i rozpamiętywań głębokich, a pomimo tego wypowiedzianych w jak najprostszej formie, gdzie uniesienie religijne jest artystycznie skojarzone z miłością ojczyzny. Takim przedstawia nam się „Duch od stepu.“

Pomijamy tutaj rozliczne drobne poezje, jakimi przed i po napisaniu wspomnianych tu dzieł zasypał naszą literaturę Bohdan Zaleski, jakoby rosą z drogich kamieni. Nadmieniamy tylko jeszcze o jednym wspaniałym poemacie, który przez to, że powstał już podobno w sędziwym wieku naszego poety, zadaje kłamstwo owym teorjom o

tępieniu umysłu w starości. Zaleski postąpił w „Oratorjum wieszczem“ nad wyższą jeszcze sferę natchnień niż w poprzednich poematach, bo w sferę natchnień proroczych. „Oratorjum wieszczę“ stanie do jednego rzędu z temi przedwiecznymi księgami, które stanowią „skarby religijne narodów.“

Po dojściu do takiego szczytu nie możemy się zapewne spodziewać, ażeby sędziwy poeta mógł nas jeszcze raz zdumiewać jakąś nowością treści albo formy w poezji, ale nie tracimy nadziei, że potężny ten umysł jeszcze nad wieczorem dni swoich pomnoży zasób skarbów, jakimi nas już wzbogacił.

KAROL WIDMAN.

## D O Ź Y N K I.

OBRAZEK LUDOWY.

Była chwila w rozwoju naszej literatury, kiedy nie tylko poeci i powieściopisarze, lecz owszem nawet badacze starożytności słowiańskich w ogóle i polskich w szczególności, zwrócili byli nagle nateżoną uwagę na lud, na jego pieśni, podania i klechdy, na jego zwyczaje i zabobony, i z gorączkową prawie namiętnością rzucili się do zbierania wszystkiego, co ma związek z ludem, co jest objawem jego uczuć i pojęć, co z przeszłości przechowuje się w tradycji ludowej. Zwrot ten wywołała, lub przynajmniej dała doń pierwsze hasło rozprawka Zoryana Dołęgi Chodakowskiego o Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej, połyskująca więcej urokiem poetyckiej fantazyi, niż przekonująca trzeźwym rozumowaniem i głębszą nauką. Za tem hasłem poszedł cały zastęp piszących i w przeciągu jednego dziesiątka lat, mniej więcej od r. 1820 do 1830, wzbogaciła się nasza literatura kilku zbiorami pieśni i podań ludowych, wielu rozprawami o literaturze ludowej i opisami zwyczajów i obrzędów ludowych.

Ale zajęcie się to literatury naszej książkowej niepiśmienną literaturą ludową i życiem ludu nie trwało długo. O ile gorętszy był zapał początkowy, o tyle prędszy ostygł i ostygł w końcu zupełnie. Za wielkie robiono sobie nadzieje, i dlatego po rozczarowaniu nastąpiło tak prędkie zubożenie. Spodziewano się, że z literatury ludowej wytryśnie nie tylko nowe źródło Hipokreny, lecz owszem, że stanie się ona kluczem do wszystkich tajemnic przeszłości przedziejowej narodów słowiańskich, a rozmarzony Chodakowski wywodził już nawet z podań i pieśni ludowych nazwy znaków niebieskich i herbów szlacheckich, opierał na nich geografję pogańskiej Słowiańszczyzny, i w obrzędach ludowych dopatrywał przedchrześcijańskich mytów pierwotnych Słowian.

Trzeźwiejsza krytyka rozwiła wszystkie te nadzieje i oziębła gorące zapędy. Jedna tylko poezya nasza zna-

lazła istotnie wśród ludu, w utworach jego serca i jego wyobraźni źródło orzeźwiającej i wylewnej, w którym opłukała się z blanszu, różu i pudru pseudoklasycyzmu, i pozbywszy się szychu francuskiego oblokła się szatą prostoty i przystroiliła się w samorodne kwiaty ojczystych niw. Uчени wyszli z poszukiwań na polu literatury ludowej i życia ludu z próżnymi rękami i odwrócili się odeń z pogardą.

To też dziś odzywają się już ledwie słabe echa owych głosów, które przed laty czterdziestu tyle budziły zajęcia dla zwyczajów, obrzędów i literatury ludowej, i tylko chyba na strunach luteń synów Apollina dźwięczą jeszcze tony podsłuchane u ludu, z pieśni jego wydobyte. W pismach czasowych rzadko już kiedy spotykamy się z opisami zwyczajów i obrzędów ludowych, z jakąś nową pieśnią ludową, jakkolwiek nie są wszystkie zebrane i znane, a książki poważniejsze tem rzadziej jeszcze zajmują się ludem pod tym względem. „Lud“ Kolberga jest podobno jedyną w ostatnich latach wydaną książką, poświęconą temu przedmiotowi.

Wszelako pieśni, podania i obrzędy ludowe, jeżeli im nawet z Berwińskim odmówimy wszelkiej wartości źródłowo historycznej, toć jednak, okrom niezaprzeczonego uroku poetyczności, są one jeszcze i z innego względu cenne. Jeżeli bowiem nie wzbogacają historii zewnętrznej, jeżeli uroniły pamięć wypadków i postaci dziejowych, lub otuliły je taką mgłą i obsypały tyłu brylantami błędnych światłek fantazyi, że pod tą osłoną na poły mroczną, a na poły tęczową trudno, częstokroć niepodobną odgadnąć rzeczywistych kształtów zatopionej morzem wieków przeszłości — to zato przechowały one tem wierniej pierwotne nabytki ducha narodu, wstępującego dopiero na drogę swego dziejowego żywota, krystalizując je rozmaicie pod wpływem rozmaitych okoliczności. Łączy je pewna nić



psychiczna, wysnuta z duszy narodu w zamierzchłej przeszłości, kiedy był jeszcze dzieckiem, a snująca się nieustannie dalej i dalej i mieniąca się ciągle tysiącami barw jak wszystko, co nie skamieniało jeszcze w martwej literze, co rozwija się żywym słowem, unoszone falami rzeczywistego życia. Są więc one istotnie kluczem do wewnętrznej historii narodu, kiedy cały naród był jeszcze ludem, ale kluczem, którym trzeba się dopiero uczyć otwierać tę przeszłość, którą zamknęły wieki, jak uczyć się trzeba czytania dziejów Faraonów z hieroglifów egipskich.

Najprostszy, najcodzienniejszy z obrzędów naszego ludu, nawet taki, który na pierwszy rzut oka zdaje się być pozbawionym wszelkiej głębszej myśli, który zdaje się, że nie wyrósł z korzenia tkwiącego w gruncie odległej przeszłości i pływa tylko, jak owe rośliny wodne, po powierzchni teraźniejszego życia — jeżeli się weń wmyślisz, poprowadzi on cię w odległe wieki, jeżeli się wsłuchasz w spiewane przy nim pieśni, to się dosłuchasz dźwięków, które zalatują w nich aż kędyś od kontynentów pogzańskich w Arkonie i Retrze, od świętego gaju w Romowe i od ognisk litewskiego Znicza.

Takim jest także i obrzęd dożynkowy, który przedstawia nasza rycina.

Wybraliśmy ten właśnie obrzęd ludowy nie dlatego, żeby on miał więcej uroku poetycznego, żeby z nim odleglejsze łączyły się wspomnienia, niż np. z Sobótkami, z Haiłkami, z Kupułą, lub z którymkolwiek innym obrzędem ludowym. Spowodował nas do napisania tych kilku wierszy o Obrzynekach jedynie piękny Szkic Grottgera, przedstawiający z właściwym zmarłemu przedwcześnie artyście talentem, jedną scenę tego właśnie obrzędu. Jeżeli więc może wielu z czytelników „STRZECHY“ wyda się nie na czasie to przypomnienie jesiennych Dożynek na wiosnę, która i tak chłodem swoim aż nadto nam przypomina jesień, to raczą nam wybaczyć, bo poświęcamy tym razem nasze nieudolne pióro mistrzowskiemu ołówkowi artysty, którego szkic nie wątpimy, że będzie miłym wszystkim naszym czytelnikom.

Genialny nasz artysta przedstawił nam w swoim szkicu ostatnią scenę tego melodramatu ludowego, który powtarza się corocznie po skończonych żniwach we wszystkich okolicach ziem polskich, ruskich i litewskich, i wszędzie jedno i to samo mając znaczenie, różne w różnych miejscach nosi nazwy: Dożyneków, Obżyneków, Wyżyneków, Tłoki, Okrężnego. Zaczyna on się na świeżo zżętym ściernisku o zmroku wieczornym, najczęściej w wigilią matki Boski Zielnej, a kończy się przed dworem, przeciągając się częstokroć do późna w noc.

Przy żniwach dziewczyna, która najzwawiej pracuje i najszybciej pomyka się naprzód, a więc stoi u steru całego szeregu żniwiarek, zowie się sternicą, podczas

kiedy postępujące za nią leniwsze robotnice nazywają z a j d a m i. Po dokończeniu żniw, kiedy na ostatnim zagonie pańskiego łąnu ostatnia stanie kopa, wiją żeńcy zaraz na polu kraśny wieniec z żyta lub pszenicy, lub czasem dwa wieńce, w miarę zżęcia obu tych gatunków zbóż, wybierając do nich zawsze kłosa najplenniejsze. Wieńce te mają zazwyczaj sześć prętów półkolistych, pałkowato w poprzek ułożonych, a ozdobionych kwiatami polnemi, w niektórych okolicach zaś jeszcze także harasówkami, wstążkami, pozłacanemi jabłkami i orzechami, a nawet obrazkami świętych. Gdy wieniec skończony, wkładają go na skronie sternicy, która w nagrodę swej zręczności i pracowitości dostępuje zaszczytu złożenia dożynkowego wieńca w ręce pańskie, i zostaje tak niejako królową całej tej uroczystości obrzędowej. Niestety często jednak i tu, jak w ogóle bywa w świecie, kraśne liczko otrzymuje pierwszeństwo przed pracowitą i zwinną ręką, i korona żniwiarska miasto skroni sternicy uwieńcza głowę dorodniejszej od niej zajdy. Uwieńczona tak, czy to sternica czy zajda, staje na czele wszystkich żniwiarek i żeńców, i cały orszak wyrusza ku dworowi śpiewając stosowne pieśni.

Na Mazowszu rozpoczynają zwyczajnie dożynkowe śpiewy następującą pieśnią:

Od zielonego gaju  
Tam się żniwiarze walą,  
Niosą wianek ze złota,  
Żniwiareczek robota.

Pótyśmy się krążyli,  
Ażeśmy pszeniczki dożęli,  
A sąsiad nasz leniwy,  
Ma jeszcze żyta dwie niwy.

Na Rusi zaś zapowiada dworowi zbliżanie się żniwiarek pieśń:

Dobra nywojka buła  
Sto kip żyta zrodyła;  
I szcze sia pofałyła,  
Kopu pereczynyła.

Zaprahajcie woły,  
Pojidem do Dibrowy:  
Sosnońki wytynaty,  
Kopońki pidepraty.

Misiaczu, misiaczeńku!  
Śwityż nam dorożeńku,  
Abyśmo ne zbłudyły,  
Winoczka ne zhubyły.  
Bo nasz winoczok krasny,  
Jak misiaczeńko jasny,  
Jszcze wyższyj wid płota,  
Szczec doroższyj wid złota,



Jeszcze wyższy wid hory,  
Szcze jaśniejszy wid zory!  
Wchodząc do wsi śpiewają żęncy ruscy:  
Bud' seło weseło!  
Bo my minod nesemo:  
Z jaroj jaryczońki,  
Z zymowoi pszenycznońki.

raty.“ Otrzymany wieniec zawiesza pan na kołku w sieni dworskiej, gdzie wisi aż do chwili nowego zasiewu, który jego ziarnem się rozpoczyna. Sternica otrzymuje datek, a dla wszystkich żniwiarzy wyprawia dwór biesiadę, która kończy cały obrzęd dożynkowy. Do późna w nocy przeciąga się ochota, po rosie płyną śpiewy i często dopiero o świcie przycicha wesół gwar, przepelniający obejście



Dożynki. (str. 195).

A kiedy na końcu staną pode dworem, nuci sternica:  
Wyjdy pannońku do nas,  
Wykup sy wineć u nas,  
Położy czerwonocho,  
Wid wińcia polowoho.

Wówczas pan wychodzi z całą rodziną i otrzymuje z rąk sternicy wianek, przyczem na Rusi życzą mu żeńcy: „Daj Boże, abyście doczekały sijaty, a my zdorowo zbe-

dworskie i całe sióło. Śpiewają piesni okolicnościowe i miłosne, a przytem uszczypliwe docinki i pogróżki ekonomom i polowym, panu i pani zaś podchlebiają się pochwałami i przymawiają o jadło i napitek:

Czuj sia pannońku w piru,  
Proday korowu siru,  
I z kuriatamy kwoczku,  
A nam horiłojki boczku.



Od Krakowa idzie burza,  
Nasza pani kieby róża.  
Nasza imość kiej lilija  
Po pokoju się wywija.

A na łące wielka rosa,  
Nasz ekonom kieby osa.  
Przede dworem stoją ławy,  
Nasz karbowy pies kulawy.

A stoi tam szubieniczka, stoi  
O za dworem, za dworem

ści Słowian, jakkolwiek w pieśniach spiewanych dzisiaj przy tym obrzędzie, zatraciły się już zupełnie wspomnienia dawnych mytów.

Nim się ustaliło u nas poddaństwo, nim się rozwinęła uprawa roli wielkofolwarczna, za którą przyszła w następstwie pańszczyzna, były może dożynki ucztą, którą raczył pan swoich czynszowych dzierżawców, po otrzymaniu od nich umówionej z wydzierżawionej roli ilości plonu. Dawniej jeszcze, przed wprowadzeniem chrześcijaństwa były one prawdopodobnie obrzędem religijnym, który wiązał się z kultem Światowida, czczonego zarówno w całej Słowiańszczyźnie jako dawcy urodzaju.



Wziąć jęwo pod karaud...

(str. 198).

Któż będzie wisiał, kto będzie?  
A karbowy z polowym.

W podobny sposób odbywa się okrężne wszędzie. W niektórych okolicach łączą się jednak z niem jeszcze pewne uboczne epizody, jak naprzykład związanie i wysmaganie ostem karbowego a nawet ekonomia, i t. p. inne figle i psoty.

Początek dożynek, malujących żywo stosunek pałtryarchalny naszej szlachty, panów do ludu, sięga prawdopodobnie bardzo odległej, pogańskiej jeszcze starożytno-

Zesz. VI.

Po dokonanych żniwach schodził się wówczas lud tłumnie do kontyń Światowida, aby składać temu „białemu bogowi“ ofiary dziękczynne za szczęśliwe zbiory. Szczególnie w kontynie Arkońskiej, obchodzono z wielką uroczystością to święto żniwiarskie. W wigilię uroczystości sam najwyższy kapłan czyścił i zamiatał przybytek bóstwa. W sam dzień świąteczny, po skończonych modłach, wyjmował z rąk bożka róg nalany winem, wróżył zeń o urodzaju na rok przyszły i wylewał wino pod nogi bałwana. Wypróżniony róg napełniał świeżem winem i wtykał



go w ręce bożka, aby zeń na rok przyszedł nowe wyprawdzie wróżby. Tymczasem zgromadzony lud składał bożkowi na ofiarę snopy i wieńce zbożowe, a prócz tego duże pierogi z miodem pieczone, i kończył wreszcie obrzęd religijny śpiewami i uczcią.

Podobnie i Litwa w czasach pogańskich miała swoje obrzędy religijne, jak n. p. Święto Ziemniakowe, które zostawały w bezpośrednim związku z dokonaniem żniwa, jak dzisiejsze Dożynki, i jak te kończyły się uczcią i powszechną ochotą.

*Łucjan Tatomir.*

## BIALI I CZARNI.

### POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

SKREŚLIŁ JAN SYGMA.

(Ciąg dalszy.)

Pomimo to bywał on częściej w Widniskach. Bilet uzyskany od Stanowego dozwalał mu swobodnie jeździć po okolicy, a polowanie, starka i wiśniak Ignasia — dobry stanowały pretekst, aby widywać się z panną Anną, poprzeczać z nią, podysputować i popatrzeć na nią. Sprzeczekali się też zawsze, gdyż zdania ich wręcz przeciwne nigdy się z sobą nie schodziły. Ale względ ten jeszcze bardziej przyczynił się do ich zbliżenia; dusze ich jak dwa sprzeczne bieguny magnesu wzajemnie się przyciągały. Przyciąganie to sprawiało, że przyjeżdżał, rozmawiał, odjeżdżał i znów powracał z nową oczekiwaną niecierpliwością. O kochaniu się, o miłości nigdy ze sobą nie mówili, i dla tego może prawdziwa ich miłość w głębi serca niby relikwia ukryta nie powszedniała, a rozmowy nie nabierały ekliwej sentymentalności.

Najczęściej późno wracał do miasteczka. Zwykle odwoził go Wasyl, któremu zawsze kazał zatrzymywać się przed umówioną traktyernią, gdzie go każdy mógł zamówić jako stroiciela, lecz nikt o jego właściwym mieszkaniu nie mógł się dowiedzieć. Nawet nie wiedział o nim traktyernik, któremu zresztą na tem nie zależało, o ile niewiadomość pod tym względem nie przeszkadzała do regularnego pobierania opłaty za obiad i wynagrodzeń za stręczenie Jana do domów potrzebujących stroiciela. Od traktyerni więc zwykle późnym już wieczorem pieszo przesuwał się krętymi uliczkami do tajemniczego wobec policji mieszkania. Szedł zwykle cicho, bez latarki i ostrożnie, aby nie napotkać patroli licznie przesuwających się w owym czasie, które aresztowały każdego nieposiadającego latarki. Lecz patrol zwykle postępował pod dowództwem policyjnego nadziretela (dozorcy), który szedł ze światłem. Łatwo więc można go było uniknąć z daleka.

VII.

W kilka tygodni po scenie z Hryhorjewem, Jan późną

porą wracając do swego mieszkania niespodzianie natknął się na patrol na skrócie jednej uliczki.

— Kto idiot? Stoj! — zawołał dowodzący patrolem nadziretel.

Jan ujrzał przed sobą urzędnika policji w wojskowy mundur przybranego, który szedł z dobytym pałaszem mając u piersi przypiętą małą latarkę, za nim mierzonym i ciężkim krokiem postępował zwod (oddział), składający się z ośmiu żołnierzy od piechoty z karabinami.

— Kto jesteś? — zapytał zbliżając się do Jana urzędnik.

— Je sui Jean Lambo, stroiciel fortepianów — odrzekł po francuzku.

— Co ty tam szwargoczesz jakąś nieludzką mową? Co to nie umiesz mówić, jak każdy człowiek, to jest po rosyjsku? Isz kakaja ptica (patrzcie co za ptaszek). Czy ty nazywasz się Lambo czy Ambo, to mi wszystko jedno, ja to wiem, że bez latarki nikomu o tej godzinie chodzić nie wolno, ja ciebie aresztuję. Wziąć jowo pod karaud (wziąć go pod straż)! — dodał zwracając się do żołnierzy. Feldfelbel zbliżył się do Jana, ujął za ramię i wtrącił do środka oddziału pomiędzy żołnierzy, którzy się nieco rozstąpili — potem zamknęli go sobą otaczając ze wszystkich stron. Nadziretel poszedł naprzód prowadząc żołnierzy, którzy w ten sposób eskortowali Jana. Nie on jeden wszakże był aresztowany. Miał za towarzyszków niedoli żyda, który jęczał boleśnie, gdyż było to w sobotę podczas szabasu, i pijanego żołnierza, którego złapano podczas dezercyi z koszar. Dezertor co chwila potraçał się o Jana, gdyż z przyczyny wesołego humoru nie mógł iść prosto. Niekiedy wśród drogi nagle zatrzymywał się, i przychodziły mu myśli popisywać się ze śpiewem. Podówczas jeden z eskortujących żołnierzy trącał go silnie kolbą w ramię, co go otrzeźwiało i na jakiś czas znowu w prostym posuwało kierunku. Żyd skulony szedł spokojnie, bojaźliwie oglądał się na wszystkie strony, i kiedy niekiedy tylko jęknął z ci-



cha. Minawszy kilka ulic orszak patrolowy zbliżył się do domu, w którym mieścił się zarząd policyjny, zawierający oraz tymczasowy areszt złożony z dwóch izb i sieni. W sieniach przy lampie czuwał drzemiący żołnierz, stróż z kluczami od kamery więziennej, w której też świeciła lampa przez całą noc. W izbie więziennej okien żadnych nie było, tylko małe krągłe okienka znajdowały się w drzwiach, aby mógł nimi zaglądać wartujący żołnierz. Oprócz stróża z kluczami, było jeszcze kilku żołnierzy w sieniach, którzy w ubraniu spali na ławach tuż przy karabinach, gotowi powstać na wszelkie zapotrzebowanie siły zbrojnej. Gdy nadzirel wszedł, wszyscy poschwytywali się i stanęli przed nim w szyku frontowym. Jana odprowadzono do aresztu, gdzie znalazł się w towarzystwie następujących osób: Było tam trzech żydków, którzy siedząc na ławie szwargotali coś z sobą w mowie na pół niemieckiej a na pół hebrajskiej — przeplatanej mnóstwem wyrazów miejscowych, na sposób żydowski poprzerabianych. Na teź ławie, na której siedzieli, leżał wyciągnięty chłop barczysty, poszlakowany o złodziejstwo; świeżo aresztowany dezertor, i czwarty żyd wraz z Janem zwiększyli liczbę uwięzionych.

Dezertor ledwie dobrnął do kaźni, padł w kącie na podłodze i natychmiast zasnął. Koło północy żydkowie, którzy nie spali ani chwili, zrobili bunt. Bunt zależał na tem, iż naraz wszyscy, przywiązawszy do czapek dziesięcioro przykazań, zaśpiewali chórem, zamieniając areszt w szkołę żydowską. Chodziło im o to, aby odmówić modlitwy szabasowe — czego z powodu aresztowania nie mogli dopełnić we właściwym miejscu.

Dezertor śpiący na podłodze, usłyszawszy śpiewy żydowskie, nagle ocknął się, wskoczył i zaczął się bić z żydami, zdzierając im przykazania. Żydzi w krzyk. Wzajemnie też odszturkiwali pijanego dezertora, wytrwale broniąc przepisów talmudu. Doszło wreszcie do tak zaciętej bójki, że interwencja siły zbrojnej stała się konieczną. Otworzono drzwi, i kilku żołnierzy wbiegło do kaźni rozbrajać bijących się. Jakkolwiek Jan najzupełniejszą neutralność zachował wśród walki, co chwili jednak potracany także musiał dla uniknięcia guzów z kąta w kąt kaźni przeskaکیwać. Na tem się skończyło, iż dezertora dla braku dybów nareszcie związano powrozami tak mocno, iż nie mógł się ruszyć i musiał czynów waleczności zaniechać. Po odejściu żołnierzy żydzi znowu chórem zaspiewali. Jan przez całą noc nie mógł zasnąć; wreszcie i nie było na czem spać. Nazajutrz o godzinie 11 rano, gdy wszystkich aresztowanych wywoływano podług raportu, miał się jego los rozstrzygnąć.

Najprzód zawezwano żydów, na których sprawnik spełnił sąd doraźny. Za jakieś wykroczenie mniejszej wagi zapłacili po kilka rubli sztrofu i zostali uwolnieni.

— Czy jest kto jeszcze? — zapytał sprawnik.

— Jest — odrzekł nadzirel. — W nocy aresztowałem

jakiegoś Niemca czy Francuza, nazywa się Lambo czyli też Ambo. Jakaś zagraniczna papuga.

— Co za Lambo? — zapytał sprawnik — przyprowadzić go tu natychmiast.

Po chwili żołnierze wprowadzili do urzędu Jana. Był znużony bezsennością. Stan nerwowego rozdrażnienia, a może inne przyczyny wywołały w nim trwogę. Ułękł się, aby nie wykryto, kim był w istocie. Potrafił jednak przestrach wewnętrzny zamaskować pozorną obojętnością i śmiało stanął przed sprawnikiem nie tracąc właściwej mu w takich razach przytomności umysłu.

— A to pan, panie Lambo? — zagadnął sprawnik łamaną francuzczyzną — Cóż to za powód, że go widzę między aresztowanymi? Bardzo mi przykro spotkać się z nim w ten sposób.

— Szedł bez latarki — odrzekł nadzirel.

— Tylko tyle? A jaki pan jesteś nieuważny. Wszak to cudzoziemiec, trzeba mieć wzgląd, wszakże go wszyscy znamy i kochamy. Mógł nie wiedzieć o istniejących przepisach. Należało ostrzedz, lecz nie narażać kochanego pana Lambo na takie nieprzyjemności. Proszę pana — rzekł — na przyszłość być ostrożniejszym, bo za tego rodzaju nadużycia będą wymówki, rozumiesz pan.

— Spełniłem moją powinność — odrzekł zafrasowany nadzirel — Mam rozkaz aresztowania każdego, kto nocą chodzi bez latarki.

— Rozkaz! rozkaz! Bardzo to dobrze, lecz trzeba mieć jakiś sens przy praktycznym zastosowaniu rozkazów. Cóż to nie znasz pan stroiciela?

— Nieznam — odrzekł.

— Śmiesz pan mi to mówić? Urzędnik policyjny, co powinien znać wszystkich, nie zna tego, którego doskonale zna całe miasto.

— Znam tych, co są meldowani — odrzekł — a niemeldowanych aresztuję. Na liście meldunkowej, którą umiem na pamięć, niema żadnego Lambo ani Ambo.

— Jako być może, panie Lambo? Co to jest, masz pan paszport?

— Mam — odrzekł Jan — jak najformalniejszy bilet.

— Pokaż mi go pan.

Jan wydobyl z kieszeni świadectwo, uzyskane od Hryhorjewa, które odtąd jako klejnot niepospolity zawsze nosił z sobą.

— Co to — zapytał sprawnik przeglądając świadectwo — zgubiłeś pan paszport?

— Niestety chciało, żem zgubił.

— Dobrze, żeś pan we właściwym czasie o tem zawiadomił stanowego. Uniknąłeś pan przeto możliwych nieprzyjemności.

Widzisz pan — dodał zwracając się do nadzirela — pan Lambo zaopatrzony w legalne dokumenta.

— Ja tego nie wiem, bo ten pan nie jest meldowany.



— A czemu? — zagadnął powtórnie sprawnik.

— Proszę pana kapitana—odrzekł—ja właściwie nie mam stałego mieszkania. Jestem jak panu wiadomo przejazdem w tem mieście. Tłumok mój i rzeczy podrózne jakie mam spoczywają u traktyernika, a nocuję gdzie się zdarzy. Codzień mnie do innego domu wzywają. Stroję fortepian, potem gram, towarzystwo rozpoczyna tańczyć. W skutek tego nie uwalniają mnie do późna, i codzień gdzie indziej nocuję, bo to taka gościnność w waszej Rosyi; nigdy nie myślałem, aby było tu tak dobrze.

Sprawnik uśmiechnął się zadowolony.

— Wreszcie — dodał — nie wiedziałem o istniejących przepisach; — u nas panie w Besancon nigdy się nie meldują.

— Czy być może? — zapytał.

— Z pewnością panie kapitanie.

— A w Rosyi panie jest inaczej; tutejsze prawa, zwłaszcza teraz w czasie stanu obostrzenia, koniecznie wymagają meldunku; bądź pan ostrożniejszy na przyszłość.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze—odrzekł Lambo—a że m wczoraj szedł bez latarki, to — dodał uśmiechając się—traktyernika należy o to obwinać. Chciał koniecznie, abym się przekonał osobiście, czy w istocie są to francuzkie wina, które posiada. Próby tego rodzaju — dodał zawsze uśmiechając się — wprawiły mię w humor nieco weselszy; poszedłem potem przejść się, odetchnąć świeżem powietrzem i zapomniałem o latarce. Przyznaję się do winy — rzekł — czyniąc ukłon pełen elegancyi.

— Zapomnij pan o tem — odrzekł sprawnik. — Ja z mojej strony przepraszam go za nieprzyjemności, którycheś doznał. Proszę pana — rzekł — biorąc go przyjacielsku pod rękę, pójdziemy dalej.—Jan w charakterze już nie więźnia lecz gościa udał się do pokoju nazywającego się prysustwie, który stonowi centrum urzędu i gdzie zwykle sprawnik zasiada. Wyraz rosyjski prysustwie znaczy właściwie obecność. Dlatego izba urzędowa ma taką nazwę, iż jest tam reprezentowana obecność monarchy w kształcie portretu z całej osoby zdjętego, i obecność prawa w kształcie kodeksu. Gdy weszli tam, Lambo usiadł w krzesło obok sprawnika, i jako mniemany Francuz mógł z wielką swobodą przysłuchiwać się rozmowom urzędników rosyjskich. Siedział tam pomocnik sprawnika, sekretarz przy osobnym stoliku, i jako gość major od żandarmeryi miejscowej. Sprawnik wydobył papierosy, i jednego dał żandarmowi a drugiego Janowi.

— Zapomina pan — rzekł uśmiechając się do sprawnika jego pomocnik — że w prysustwji palić nie wolno; zły przykład pan nam dajesz.

— Pan major — zauważał żartobliwie sekretarz — gotów napisać do Petersburga donos na nasz zarząd policyjny.

— Napisałbym niezawodnie — odrzekł, uśmiechając się żandarm — gdybym wiedział, że mi co za to zapłacą, bo

wczoraj djablem się zegrał w sztos. Ten pośrednik Pa-wliszczew ma szczęście szalone.

— Bądź spokojny majorze, pieniądze będą zaraz znowu; pociśniesz Polaczków, kontrybucyjka już naznaczona—rzekł sprawnik.

Gdy tak rozmawiali w drzwiach prysustwia, ukazała się kobieta lat pięćdziesięciu, chuda o twarzy bladej i zapłakanej.

— Panie kapitanie, ratuj mnie! — zawołała po polsku zbliżając się do sprawnika.

— Jak śmiesz babo mówić po polsku? Dwadzieścia pięć rubli sztrofu kładnij natychmiast na stół, albo cię każę arestować. Tu wobec portretu cesarskiego ty śmiesz odzywać się tą przekłątą mową? A to zuchwałość niesłychana.

— Aresztujcie mię, róbcie co chcecie, ja niemam nic do stracenia. Ten łotr Gintowt, niby obywatel, niby Polak bez żadnej litości, wypędził nas z chaty, którą wraz z kawałkiem ogrodu odnajmywaliśmy na jego ziemi. Wypędził nas za to, żeśmy jednego rubla z czynszu nie dopłacili. Zkąd my weźmiemy, my biedni. Ach Boże, gdzie się ja teraz nieszczęśliwa obróczę z drobnymi dziatkami.

— Skarzycie na Gintowta! — zawołał z oburzeniem sekretarz.

— A to niech idzie chyba do gubernatora — zauważał z uśmiechem żandarm.

— Wiele tam wskóra — rzekł pomocnik.

— Dobrze, dobrze—odrzekł uśmiechając się sprawnik — sprawę twoją rozpatrzmy i— obróciwszy się dodał: Bądź spokojną — idź, lecz pamiętaj, że jeżeli jeszcze raz odezwiesz się po polsku, to do śmierci z turmy nie wyleziesz. Idź precz!

— Ach panie kapitanie — westchnęła kobieta i wyszła.

— Pojedziem na śledztwo do Gintowta — rzekł sprawnik śmiejąc się do obecnych.

— Pojedziem, pojedziem — odrzekli.

— Lecz trzeba jeszcze i pułkownika zabrać z sobą.

— Porter i wódka u Gintowta doskonałe — rzekł żandarm.

— Zrobim wremiennie oddzielenie (komisya delegowana).

— Lecz trzeba i kobiety zabrać z sobą.

— A to Gintowt śmiać się będzie dopiero.

— Gdyby żydków muzykusów!

— Ach panie Lambo, pan grasz doskonale na fortepianie, jedź pan z nami.

— Bardzo dobrze — odrzekł.

— Zanim żydkowie, pograssz pan nam i potańczymy.

— Bo to widzi pan, ta głupia baba — rzekł sprawnik — co tu była przed chwilą, skarżyła Gintowta. Jest to najważniejszy w naszym powiecie człowiek, obywatel dobrze widziany u rządu, w bliskich stosunkach zostający z gubernatorem. Lecz przytem gościnny jak mało, karmi i poi



doskonale. My chociażbyśmy chcieli zaszkodzić mu w czem, to nie możemy. Zresztą ktośby chciał działać przeciwko takiemu jak Gintowt. Jest to złoty człowiek, serce pełne szlachetności. Otóż — dodał uśmiechając się — skarga tej baby bardzo nam się przyda. Zrobimy śledztwo. To jest pod pretekstem śledztwa pojedziemy z całym naszym towarzystwem z damami i zabawimy się doskonale. Gintowt ani spodziewa się dzisiaj, jaki los oczekuje jego porter i wiszniak.

— Wybornie — odrzekł Jan — ja z wami chętnie pojedę, bo lubię się zabawić w dobranem towarzystwie; będę wam grać, aż struny w fortepianie popękają.

— Doskonały Francuz, doskonały Francuz — zawołał wszyscy. — Brawo jedziemy natychmiast, chodźmy wszyscy do pułkownika.

W miasteczku kwaterowała bateria artylerji, której pułkownik znany był powszechnie jako chlebosól. Lubił smaczno zjeść i wypić. Pensję swoją, która wraz z różnemi dochodami stanowiła sumę sześć tysięcy rubli, przejadał i przepijał. Gościnność jego i towarzyskość posuwała się do tego stopnia, że gdy nikt do niego nie przyszedł przed obiadem, wychodził na miasto i kogo spotkał ze znajomych gwałtem do siebie ciągnął na obiad. Nigdy nie siadał do stołu, jeżeli najmniej dziesięć osób nie zebrało się u niego. Był oraz amatorem tańców, mistrzem w kozaku i duszą moskiewskiego towarzystwa. Projekt wycieczki do Gintowta znalazł u niego jak najwyższe poparcie, kazał natychmiast zaprzędz ośm wózków koźmi od artylerji, i całe moskiewskie towarzystwo miasteczka wraz z Janem ze śmiechem i wrzawą pojechało do Czekiny, majątku Gintowta. (C. d. n.)

## K R O N I K A.

### Z kraju.

(Wystawa obrazów i innych dzieł sztuki), urządzona przez nasze Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, skończyła się już z dniem 27. kwietnia. Była to — że tak powiemy — pierwsza próba żywotności tego towarzystwa, i rezultat jej wypadł dość — a nawet jak na pierwszy raz — bardzo pomyślnie. W wystawie brały udział najświetniejsze imiona naszego świata artystycznego, a publiczność — chociaż z początku okazała się cokolwiek obojętną z powodu niesłusznego uprzedzenia przeciw towarzystwu, zmieniła później zdanie pod wpływem rzeczywistości i wynagradzała pierwotną niesłusność bardzo licznem uczęszczaniem na wystawę. Że na tem zyskały wiele obie strony, dowodzić nie potrzebujemy. Publiczność miała sposobność przekonać się praktycznie o potędze sztuki, a towarzystwo znalazło się przeto w możności nietylko pokrycia wszelkich kosztów wystawy, ale oraz nabycia kilku cenniejszych utworów na premię i do wylosowania dla akcyonaryuszów. Jak się dowiadujemy, wybrany został na premię obraz p. J. Kotsisa: „Rekrutacya“; do wylosowania zaś kupione zostały z funduszów towarzystwa; Kotsisa: „Chłopak strzelający z kłucza“; Eliasza: „Barbara w Dubinkach“; Mireckiego: „Modlitwa na poddaszu“; Grabińskiego: „Wimbachstal“ (pejsaż); Grabowskiego: „Ruiny zamku Tynieckiego“; Pentera: „Żołnierz napoleoński“; Streita: „Muzykańci wiejscy“; Budkowskiego: „Góralka tatrzańska“; Macewicza: „Placówka“; Szlegla: „Kopia z Rembrandta“; Szermentowskiego: „Widok pirenejski“; prócz tego kupiono z odlewni rzeźbiarza p. Filipiego: 20 biustów K. Szajnoch, 5 biustów W. Pola, 5 medalionów A. Fredry, a na koniec jedną rzeźbę w drzewie Kozakiewicza. Odzywają się wprawdzie głosy, dłaczego towarzystwo nie wybrało na premię obrazu Matejki: „Sędziwoj“; ale odpowiedź na to prosta: nie miano funduszów ani na nabycie oryginału, ani też

na pokrycie znacznych kosztów rytowania premii, ażeby rycina była godną oryginału. Kilka innych jeszcze obrazów z tej wystawy znalazły nabywców prywatnych, a mianowicie hr. Włodz. Dzieduszycki kupił Gersona: „Oracza“, hr. Witold Borkowski dwa pejsaże Grabińskiego, a p. Breuer Emil Kossaka: „Targ koński na Pradze“.

Tym sposobem więc stanęło towarzystwo, pomimo wszelkich przeszkód i wstrętów, jakie czyniono mu z pewnej strony, do razu o własnych siłach, i zajęło stanowisko wcale poważne i pożyteczne dla kraju. Zresztą jest także wszelka nadzieja, że przyjdzie do skutku zespolenie działalności obudwu towarzystw sztuk pięknych we Lwowie i w Krakowie, gdyż rokowania w tym celu zostały już rozpoczęte, i — jak się z przyjemnością dowiadujemy — obiecują pomyślny rezultat, który niezawodnie przyniesie wielką korzyść krajowi i sztuce.

(Nasza scena polska) stała się w najnowszym czasie przedmiotem bardzo gorącej polemiki między dziennikarstwem i dyrekcją. Niewchodzimy w to wcale, po czyjej stronie jest słusność; ale to pewna, że zbyt wielką rolę gra przytem namiętność osobista, a taka walka nie przynosi zaprawdę nikomu ani sławy ani pożytku. Krytyka, jeżeli chce utrzymać swoją powagę, powinna starannie unikać wszystkiego, co może ściągnąć jej zarzut parcjalności; inaczej nietylko nikogo nie poprawi, ale przeciwnie zniechęci jeszcze bardziej i ostatecznie sama straci kredyt zupełnie. Niepojmujemy też istotnie, jaką wartość mieć może owa płonna wrzawa o utworzeniu drugiego teatru we Lwowie, które jak na teraz niema za sobą najmniejszego podobieństwa do prawdy. Wszakże cały świat wie o tem, że fundacya skarbkowska dlatego tylko przyjęła na siebie ciężar utrzymywania sceny niemieckiej, iż nadano jej za to wyłączny przywilej na teatr polski; o zniesieniu więc tego przywileju nie może być mowa bez usunięcia owego ciężaru, a że tego nie uczyni rząd pod żadnym warunkiem, o tem — zdaje nam się — powinniśmy być już oddawna przekonani. Nacóż



więc przyda się to sztucznie rozumowanie o zniesieniu wszelkich przywilejów ustawą zasadniczą, które do tego wypadku zupełnie nie da się zastosować, już dla samej kardynalnej zasady jurydycznej, że prawo nigdy wstecz nie działa? Jestto tylko próżne ludzenie siebie i drugich, a tem naganniejsze, że umyślne.

(Nowości dramatyczne). W pierwszych trzech tygodniach nowego roku teatralnego (od Wielkanocy) widzieliśmy już na naszej scenie kilka oryginalnych utworów dramatycznych, z których zasługują na podniesienie komedye: „Posażna jedynaczka“ p. J. Aleks. Fredry, i „Zawierucha“ pana Koziebrodzkiego. Wkrótce zaś przedstawioną będzie komedya pana Bron. Komorowskiego: „Po śmierci“ i dwie nowe anegdoty dramatyczne J. I. Kraszewskiego o Radziwille Panie kochanku. Także znakomity nasz autor dramatyczny p. Leopold Starzeński napisał w tych czasach nowy dramat: „Syn Bohdana“, ale cenzura nie przepuściła go do przedstawienia. W ogóle objawia się teraz bardzo pomyślny ruch w naszym piśmiennictwie dramatycznym, a talentem, które go głównie reprezentują, można w istocie rokować świetną przyszłość.

Nakoniec podać możemy jeszcze tę nowinę ze świata dramatycznego, że wkrótce przybędzie do Lwowa sławny na całą Polskę artysta teatrów warszawskich p. Jan Królikowski i przez dłuższy czas występować będzie jako gość na naszej scenie.

(Dzień 3. Maja), tę najwznioślejszą rocznicę w dziejach Polski, obchodziła scena nasza bardzo uroczysto, poświęciwszy wieczór przeważnie uczczeniu pamięci naszego wielkiego bohatera Tadeusza Kościuszki. Kapelmistrz teatru polskiego p. K. Hössly skomponował umyślne na tę uroczystość uverture, osnutą na melodji narodowej: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — którą publiczność przyjęła z wielkim zapalem.

(Druga serya wieczorów zimowych s. p. Grottera) wyszła już z pracowni fotograficznej p. Teodora Szajnoka i nie ustępuje w niczem pierwszej. Równocześnie wyszło w Wiedniu z pracowni fotograficznej Angera, album fotograficzne, przedstawiające ostatni poemat malowniczy tego artysty pod tyt.: „Wojna,“ ale cena jego tak jest wysoka (70 zlr.), że mało kto będzie w stanie je nabyć. Wogóle wszystkie tego rodzaju wydawnictwa fotograficzne chromieją na zbytnią wysokość ceny i dlatego nie są przystępne szerszej publiczności.

(Konkursu literackie). Istniejące w Lipsku towarzystwo historyczne księcia Jabłonowskiego, przeznaczyło 60 dukatów nagrody za wyczerpującą historję handlu zbożowego dawnej Polski z zagranicą. Jako wstęp do tej historii ma być wzięta epoka upadku państwa bizantyńskiego, nowsze czasy po upadku Polski mają być uwzględnione tylko jako zakończenie, główną zaś uwagę ma zwrócić piszący na trzy wieki między temi epokami. Konkurs ten ogłoszono na r. 1869. Zaś na rok 1870 w dowód pamięci dla założyciela towarzystwa wyznaczono temat: Historia Polski w średnich wiekach. Autor ma sięgać do źródeł i obrobić swą pracę podług krytyki historycznej, wskazanej w dziele Palackiego lub Watterbacha (Deutschlands Geschichtsquellen im Mittelalter). Nagroda wynosi także 60 dukatów. Rozprawy mają być nadsyłane w języku łacińskim, francuzkim lub niemieckim.

(Nasze Towarzystwo muzyczne) rozpoczęło w oryginalny

zaprawdę sposób swoją oddawna już zapowiedzianą reorganizacyę; oto zapisało sobie na nauczyciela śpiewu jakiegoś śpiewaka „von Draussen,“ jak gdybyśmy w kraju nie mieli już nikogo zdolnego do zajęcia tej posady. Niewiemy istotnie, czem możnaby usprawiedliwić taki krok ze strony towarzystwa, które mianuje się polskiem i pobiera zasilek z funduszków krajowych? Zapowiedziane przed Wielkanocą jeszcze „Stabat mater“ Rossiniego przyszło do skutku dopiero w pierwszych dniach maja i wykonanie jego było bardzo staranne.

(P. Hipolit Witowski), znany zaszczytnie z swoich prac pedagogicznych i naukowych, ogłasza nowe wydawnictwo popularnych wyłącznie przyrodniczych dzieł, które od czasu do czasu w krótkich przerwach wychodzić będą. Publikacyę rozpocznie chemia w obrazach z życia codziennego, opracowana podług J. Johnstona i stosowana do życia powszedniego. Przedpłata wynosi 2 zlr. Wydawnictwo to bardzo pożyteczne i godne jak największego poparcia.

(Piąty konkurs Konstantego Zakrzewskiego). Wydawnictwo dobrych i tanich książek w Poznaniu ogłosiło nową nagrodę w kwocie 300 zlp. z fundacyi K. Zakrzewskiego za najlepsze dzieło, przeznaczone dla ludu katolickiego lub doroslejszej młodzieży. Treść ma być poważna, oryginalna, wzięta z pola lub dziejów ojczystych, albo obyczajów narodowych, albo z ogólnej dziedziny nauk. Objętość najmniej 200 stronnic zwykłego druku. Termin nadesłania do 1. grudnia r. b.

Z Warszawy piszą nam: Od chwili, kiedy kościół katolicki zaczął obchodzić z uroczystością pamięć męki i zmartwychwstania Chrystusa, te same obrządki religijne przechodzą się, nie ulegając zmianie.

Zwyczaj także dzielenia się święconem utrzymuje się, mianowicie w naszym kraju, ale jest już niemal tylko przypomnieniem owych dawnych a błogich czasów, kiedy w całej Polsce ruch niezwykle obudzał się zarówno u ludności miejskiej, jak i po wsiach.

W owych to czasach panowie polscy występowali z wystawnem święconem, a zasiadłszy przy staroświeckich srebrnych puharach, napelnionych starym miodem lub węgrzynem, przypominali czasy Batorego. Niemniejsza też bywała gościnność w skromnej chacie naszych włościan. Nie było wprawdzie mazurków i bab na ich stołach, ale za to przyozdabiały je starodawne kołaczki i dzban miodu z własnej pasieki.

Czas wszystko zmienia, wpłynął też przeważnie na zatarcie wielu zwyczajów przez długie epoki przechowywanych.

Polska zmieniła nawet swą zewnętrzną postać. Ogromne lasy, które dostarczały obficie zwierzyny na zastawę stołów magnackich i zamożniejszej szlachty, padły pod siekierą przemysłowców. W gruzy poszły obronne zamki i wspaniałe pałace.

Nie zaginęła jednak w sercach dzieci polskich dawna cnota gościnności, i chociaż w mniejszych kółkach zbierają się rodziny, ażeby dnie tej uroczystości spędzić wspólnie.

Obecnie bowiem:

Życie w domowych ścianach się zamknęło;  
Dziś się krew wszystka zbiega do rodziny,  
Niby do serca, z kąd się życie wzięło,  
I tam wspomina swych przodków wawrzyny!



A z tychto wspomnień rozchodzi się ciepło  
Po całej duszy; i boleść przeminie,  
Gdy przy tym cichym, ojezystym kominie  
Znów się ogrzeje, co w życiu zakrzepło!

Ubiegłe więc dnie świąt Wielkanocnych po większej części spędzono w serdecznym kółku rodziny i przyjaciół, a wszędzie w miejsce powińszowań, składano wzajemne życzenia chwil swobodniejszych! W paru tylko domach wyższego towarzystwa zgromadzono się liczniej, a nawet tańczono.

Oprócz kwest po kościołach w czasie Wielkiego Tygodnia zbieranych na rzecz szpitalów warsz. przedstawianem bywa corocznie na ten sam cel widowisko w wielkim teatrze. W tym jednak roku dla niewiadomych przyczyn odłożonem zostało na późniejszy czas. Teatra warsz. obecnie przechodzą pod inną dyrekcję, prezes bowiem tejże dyrekcji Aleksander Hauke, padł ofiarą tyfusu, który nielitościwie nawiedza mieszkańców miasta Warszawy.

W dniu 6. kwietnia odbyło się posiedzenie komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, na którym zakupiono dzieła sztuki, przeznaczone do rozlosowania w tym roku między członków Towarzystwa.

Znany artysta p. Józef Brandt, bawiący obecnie w Monachium, przysłał szkic do obrazu, jaki zamierza wykonać. Szkic ten przedstawia ustęp z czasów pobytu Paska w Danii według jego pamiętników, i jest tak wykończony, że sam może stanowić ładny obrazek.

Pan Oskar Sosnowski, rzeźbiarz, obecnie bawiący w Rzymie, a którego dzieła przyozdabiają tutejsze świątynie, wykonał teraz posąg, który przez znawców uważany jest jako arcydzieło. Przeznaczony przez artystę do nowo wzniesionego kościoła w Jeruzolimie, został tamże z Rzymu odesłany.

Kiedy zamierzamy wejść w dziedzinę nauki i literatury, smutnego doznajemy wrażenia. Cisza bowiem i próżnia, a tylko pisma peryodyczne stanowią ruch literacki. Po większej jednak części zapelniają swe szpalty niewielce zajmującymi artykułami, lub też redakcyje toczą między sobą walkę na obosieczne języki. Mianowicie Kurjer warszawski zwykł występować niemal w każdym numerze z słowami wymówki lub niechęci przeciwko innym pismom.

Z niemałej liczby powieści zamieszczanych w pismach peryodycznych, nie znajdujemy żadnej, któraby czytelników zająć mogła. W kwietniowym zeszytcie Biblioteki warsz. ukończono druk hiszpańskiej powieści pod tyt.: „Alvareda,“ przekładu p. Miłkowskiego. Dziwne upodobanie objawiło się od pewnego czasu do powieści hiszpańskich, mianowicie redakcyje są w ciągłym ich poszukiwaniu.

Dobry smak wyraźnie znika; poważnych artykułów nie czytują, ale wszystko, co śmieszne lub skandaliczne, tysięcznych znajduje zwolenników. Świeżym tego dowodem zwiększona cyfra o 600 prenumeratorów Przeglądu Tygodniowego, od chwili rozpoczęcia w temże piśmie druku powieści p. n. „Tajemnice Paryża,“ której jaskrawe obrazy dziwnie rażą.

Wyszło już pięć zeszytów „Muchy“ szkiców humorystycznych Kostrzewskiego i Pillatego; ale zaledwie parę obrazków nosi cechę pewnego dowcipu.

Szkice humorystyczne, rysunkowe i literackie p. Leona Kunickiego, wyszły w ozdobnym wydaniu, co zapewne ma zastąpić niesmaczne dla oka rysunki. Pierwsza rycina okazuje charakterystykę nosów, które oprócz linii nosowych w rozmaitym kierunku poprowadzonych, żadnej niemal nie przedstawiają charakterystyki. Następuje potem niemiła dla oka scena, przedstawiająca młodzieńca dziewiętnastego stulecia, który wobec ojca swego nader nieprzyzwoitą zachowuje pozę. Ze strony literackiej, cała humorystyka ogranicza się na skreśleniu przykrego obrazku, gdzie syn w szczególny i ubliżający sposób wyraża się w rozmowie prowadzonej z ojcem. A co jest smutniejszym, że chcąc wytknąć błędy młodzieńca, autor skreśla całe niedołęztwo ojca, nie umiającego zachować właściwej mu powagi. Zarówno razi nas obrazek noszący tytuł „Konkurencji tegocześni.“ Rysunek przedstawia pannę na wydaniu, potwornej postaci, ale przybranej w listy zastawne i worki złota, a przed nią w błagającej postawie rozkrzyżowanych lub klęczących z wzniesionemi w górę dłońmi mężczyzn rozmaitego wieku i stanowiska. Szczególniej nie podobają się nam postacie artysty i literata, korzące się na widok złota. Za daleko posunął się dowcip i złośliwość. W ogóle u nas podobne wydanie nie jest szczęśliwie obmyślane. W razie tylko, gdyby prasa była wolniejszą, taka praca zajmującą staćby się mogła, a na ciekawych i zupełnie oryginalnych egzemplarzach w naturze nie zabrakłoby autorowi.

#### Ze świata.

(Najpopularniejszy autor we Francyi). Przy ulicy Lafayette wzniesiono właśnie przepyszny gmach, którego fasadę zdobią rozmaite rzeźby, złozenia i arabeski. Na przyczolku jego znajduje się kolosalny medal z brązu, przedstawiający francuską monetę „Sous“. Cóż znaczy ta moneta? Oto że gmach ten wzniesiony został za szelagi, płynące ze wszystkich kończyn Francyi. W gmachu tym bowiem, liczącym 5 piąter, drukuje się dziennik „Petit Journal“ i rozchodzi się ztamtąd codziennie w 200.000 egzemplarzy. Na dole znajduje się 4 pras pospiesznych, z których każda drukuje w przeciągu godziny 36.000 egzemplarzy, tak że druk całego nakładu trwa zaledwie dwie godzin. Na pierwszym piątrze składają formy; na drugim pracują zecerzy; na trzecim znajduje się redakcyja; na czwartem składają arkusze, a nakoniec na piątym piątrze znajduje się ekspedycya. Założycielem tego dziennika jest finansista Millaud, ale nadzwyczajne rozszerzenie swoje zawdzięcza dziennik publiczności Leonowi Lespes, który pod imieniem Tymoteusza Trimm dostarcza mu od r. 1863 kierujących artykułów. Od założenia dziennika napisał już Trimm przeszło 1800 artykułów, i nie ma wsi we Francyi, gdzieby ich nie czytano. Że te artykuły nie są arcydziełami, rozumie się samo przez się; Trimm powtarza się bardzo często i nieraz bierze do pomocy Lexikon konwersacyjny; ale już sam nadzwyczajny skutek jego działalności dziennikarskiej świadczy dostatecznie, że nie zbywa mu na zdolnościach, tem bardziej, iż nie stara on się, jak wielu innych dziennikarzy przyciągać czytelników za jakąbądź cenę, i unika troskliwie wszystkiego, coby mogło obrażać uczucie moralności. Napisał on też mnóstwo już obrazków, powiastek i szkiców, między którymi wiele jest bardzo dobrych.



Leon Lespes urodził się w r. 1813. Służył w stopniu sierżanta w 55tym pułku liniowym, ale nie zdobył sobie wawrzynów. Pułkownik przydybał go na robieniu wierszy i nazwał złym sierżantem. Lespes poznał sam, że nie jest zdolnym na generała; zrzucił przeto uniform i wystąpił w roku 1840 jako dziennikarz. Od tego czasu nie złożył już więcej pióra. Wielka popularność jego datuje się jednak dopiero od założenia dziennika „Petit Journal,” któremu zjednał taką wziętość, że w r. 1866 rozchodziło się dziennie 320.000 egzemplarzy. Ogromny ten odbyt zmniejszył się wprawdzie od czasu założenia przez rząd Małego Monitora, ale zawsze jeszcze jest „Petit Journal” dziennikiem najbardziej czytany w Francji.

Leon Lespes jest rzadkim oryginałem, i powierzchowność jego nadzwyczajnie uderzająca. Mały, otyły człowieczek, nosi rodzaj bluzy aksamitnej, bardzo szerokie pantalone ze sztrupkami, czerwoną niedbale zawiązaną chustkę na szyi i fałdzistą kamizelkę, na której błyszczy gruby złoty łańcuch od zegarka, tak że możnaby raczej uważać go za właściciela menażery lub gabinetu figur woskowych, niż za dziennikarza. Rzadko kiedy chodzi pieszo i to nie daleko; najczęściej jeździ dorożką i równie jak Rossini obawia się kolei żelaznej. Fotografowie rozpowszechnili już tak dalece jego okrągłe, uśmiechnięte oblicze, że prawie każdy zna go już w Paryżu. Dziennikarze tak zwanej małej prasy napastują go bardzo często z zawiści, ale on nie wdaje się z nimi w żadną polemikę. Lespes ogłosił już kilka tomów pism humorystycznych, z których zasługiwałoby niejedno na przetłumaczenie. Jak popularnym jest „Petit Journal,” można poznać z tego, że naprzeciw gmachu, w którym drukuje się teraz ten dziennik, założono niedawno winiarnię z napisem: „Au Rendez-vous du „Petit Journal.”

(Piwo milionowe). W jednym z browarów nasawskich użyto niedawno bardzo kosztownego paliwa. Browarnik otrzymał od rządu do trzech milionów ściągniętych kuponów nasawskich, które w obecności komisarzy rewizyjnych spalono pod kotłem zacierowym. Przez trzy godzin opalano browar tym kosztownym materiałem, i trzy kadzie zagotowano nasawskimi pieniędzmi papierowymi bez wszelkiego dodatku węgla. Tak więc będą wkrótce miłośnicy piwa pić z tego browaru piwo milionowe.

(Malowidło złote i srebrne na materyach jedwabnych). Malarz Karol Günther w Berlinie wynalazł sposób malowania złotem i srebrem na materyach jedwabnych, któreto malowidło równa się zupełnie haftom złotym i srebrnym, ale przewyższa je o wiele co do elegancji i trwałości i nadaje się szczególnie do ozdabiania artykułów toaletowych i robót ręcznych. Wstążki do kapeluszy i szarfy, lampasy i wyszytki do sukien, przedewszystkiem zaś takie wyroby jak pugilaresy, futeraliki na sygara i karty wizytowe, teki i t. p., wyrabiane z ciemnej matery jedwabnej z takim malowidłem, wyglądają przecudnie. Ten sam malarz wynalazł także sposób bardzo pięknego i trwałego złocenia szlerek, koronek, blondyn i t. p.

PRZEGLĄDU POLSKIEGO zeszyt XI na miesiąc Maj zawiera następujące artykuły: „Historyczność i poezya ogrodów”—„O kredycie rolniczym i jego instytucjach“, przez K. Chłędowskiego.—„Kwestya wschodnia i kościół wschodni,“ przez X. Kluczyckiego (c. d.)—„Karol Szajnocha,“ wspomnienie pośmiertne, przez B. Kalickiego.—„O urządzeniu ksiąg hipotecznych włościańskich i miejskich w Galicyi,“ przez dr. Andrzeja Rydzowskiego.—„O kolejach galicyjskich“, przez J. Stadnickiego.—„Przegląd literacki“ przez J. Szujskiego.—„Kronika bibliograficzna“. — „Przegląd polityczny,“ przez St. Kozmiana.—„Sprawy ekonomiczne krajowe,“ przez C. Hallera.

## ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1867.

- Kozłowski K. Lud. Pieśni, podania ludu z Mazowsza Czerskiego. Warszawa 1867.
- Koerner T. Zriny, tragedia w 5 aktach tłum. L. Jenike. Warszawa 1867.
- Karłowic Don Karlos. Szkic biogr. hist. Warszawa 1867.
- Kavanagh. Julja Rachel Gray, powieść tłum. J. Grajner. Warszawa 1867.
- Kochanowski P. Dla rolników zbiór 80kilku notacyi itd. Warszawa 1867.
- Laporte T. D. X. Czy jest djabeł i co robi. Warszawa 1867.
- Leja Emilia. Z miasta i ze wsi. Zbiór powieści. Warsz. 1867.
- Mostowski A. Dwa węzły (poezya) Żytomierz 1860.
- Opowiadanie o Kazimierzu Wielkim. Lwów 1867.
- Pawlicki. Abelard i Heloiza. Warszawa 1867.
- Szymański K. O bazaltach i trachitach. Warszawa 1867.
- Szulc X. A. Ogrojec (poemat). Warszawa 1867.
- Zadora. Paszkowski J. et Olgard Sabiński. Le gaz aerogene, ou le gaz de l'avenir. Paris 1867. brosz.
- Prawdzic. Wolność hasłem naszym (poemat). Lipsk 1867.
- Wileczyński. Rys taktyki trzech broni. Kraków 1867.
- Lipiński M. Zarys antropologii psychicznej. Lwów 1867.
- Kozłowski Lud. Pieśni, podania itd. Warszawa 1867.
- Stadnicki K. Bracia Wład. Jag. Lwów 1867.
- Chądzyński D. Dławiec. Lwów 1867.
- Forster K. Klasom pracującym polskim 6 książeczek. Berlin 1867.
- Rzewuski H. Pamiątki J. P. Soplicy. Bibl. lud. Paryż 1867. 3 tom.
- Gałęzowski J. O działach gwintowanych. Paryż 1867.
- Żywołt św. Kunegundy (wydawn. Młockiego). Lwów 1867.
- Anezyce Wł. Meszty Abu Kazema, komedyjka. Warszawa 1867.
- Lud warszawski podczas powstania Kościuszki 1794. Lwów 1867.
- Partycki. Deutsch-ruthenisches Handwörterbuch. Lemberg 1867.
- Belza Wład. Podarek dla grzecznych dzieci. Warszawa 1867.
- Niewiarowski A. Szkice psychologiczne. I. Paweł i Wirginia. Warszawa 1867.
- Dumas A. Pojęcia pani Aubray, komedia, tłum. W. Umiastowski. Warszawa 1867.
- Grubecki K. Arytmetyka. Warszawa 1867.
- Meksyk pod względem geograficzno-statystycznym i historycznym Warszawa 1867.
- Amszejewicz. M. Ahna praktyczne prawidła nauczania się języka ruskiego. Warszawa 1867.
- Kowalski St. Sto pociech. Bajki, powieści. Rzeszów.